



MARGARET WAY



***Pora
rozstrzygnięć***

Tytuł oryginału: One Fateful Summer

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Bujna uroda krajobrazu, istna orgia barw i kształtów działały ożywczo i tak podniecająco, że Shelley poczuła żywsze pulsowanie krwi. Po długiej, chłodnej zimie spędzonej na Wyspie Południowej w Nowej Zelandii miała wrażenie, że uciekła do bajecznie kolorowego, rozświetlonego słońcem rajskiego ogrodu.

Tu i ówdzie pośród rozległych pól trzciny cukrowej ukazywały się jej oczom pomalowane na biało domostwa, otoczone rzędami wysokich palm, tamaryndowcami, krzewami poinsecji i bugenwilli. Kwitły na różowo i biało oleandry, pachniały czerwone uroczyny, a wszechobecne tu ogromne drzewa mangowe uginały swe potężne gałęzie pod ciężarem owoców. Dachy domów kryte falistą blachą mieniły się w promieniach gorącego słońca zielenią mchu, głębią szarości i ciepłą, chromową czerwienią. U podstawy przepastne i szerokie, osłaniały sobą biegnące wokół domów werandy, których balustrady tonęły w gąszczu najwspanialszych pnączy, jakie Shelley kiedykolwiek widziała. Jasnofioletowe glicynie, różnobarwne powoje i wilce pokrywały wszystko jak okiem sięgnąć - nasypy, ogrodzenia, ściany, balkony. Wielu roślin nie potrafiła rozpoznać, zapewne pochodziły z lasów tropikalnych ciągnących się niedaleko na północy. Przylądek Jork był jednym z ostatnich miejsc na ziemi, gdzie zachowały się olbrzymie przestrzenie dzikiej, nie tkniętej ręką człowieka przyrody. Miała nadzieję zwiedzić te okolice jeszcze przed nadejściem monsunu, w porze deszczowej bowiem półwysep stawał się całkowicie niedostępny.

Wielką Rafę Koralową, prawdziwy ósmy cud świata, również pragnęła zobaczyć. Wał z koralu ciągnął się wzdłuż wybrzeża na przestrzeni ponad dwóch tysięcy kilometrów, tworząc gigantyczną osłonę przed falami Pacyfiku. Wewnątrz ogromnej zacisznej laguny znajdowało się tysiące urzekająco pięknych raf i wysepek, w większości tak dziewiczych jak w dniu stworzenia, choć niektóre, jak Hayman, Hamilton, Lizard czy Bedarra stanowiły boski raj dla możnych tego świata. Shelley planowała spędzić trochę czasu na zwiedzaniu rafy koralowej. Przypuszczała, że jej ojciec nie będzie temu przeciwny.

Ojciec... Zniknął z jej życia, gdy miała zaledwie siedem lat. Przez wszystkie następne lata z trudem usiłowała się z tym pogodzić. Pamiętała dzień, w którym odszedł, pamiętała swój płacz i błaganie: „Nie, tato! Proszę, nie odchodź!”

Ileż to razy wspominała tę scenę? Setki? Tysiące? Nosila ten obraz w sercu zawsze i wszędzie, dokądkolwiek by się udała...

Była wówczas wysoką na swój wiek dziewczynką, z grubym popielatym warkoczem do pasa. Miała ha sobie dzinsowe ogrodniczki i różową bluzkę... Jej piękna jak bogini matka, Sarina, głaskała ją po głowie, jakby chciała tym kojącym gestem złagodzić ból. Shelley i jej ojciec trwali w rozpaczliwym uścisku. On zgięty wpół, by dostosować się do jej wzroku, ona z rękoma oplecionymi wokół jego szyi. Obydwoje płakali. Jej przystojny, młody ojciec z burzą jasnych, kręconych włosów i złocistą brodą... Jakże rozpaczliwie go kochała! Czy o tym nie wiedział? Nie mogła znieść myśli, że go traci. Nie potrafiła opanować bólu. Tatusiu, złamałeś mi serce!

Matka od tamtej pory nazywała go bezdusznym, nieodpowiedzialnym człowiekiem, który płynie przez życie, poddając się fali. Ojciec naprawdę odpłynął z ich życia. W istocie był doświadczonym żeglarzem. Pływał po południowym Pacyfiku i Morzu Południowochińskim, kilka lat mieszkał na Bali i Fidżi, a potem wrócił do Queenslandu, gdzie - jak dowiedziała się z listu (pierwszego listu od szesnastu lat!) - kupił plantację trzciny cukrowej i zaczął robić interesy do spółki z przyjacielem.

„Błagam cię, kochana córeczko, przyjeźdź. Jesteś już dorosła. Masz prawo wydać własny sąd”.

Napisał, że nigdy o niej nie zapomniał, że myślał o niej codziennie.

„Nie wierz w to!” - drwiła matka, Shelley jednak zdecydowała dać ojcu szansę powrotu do jej życia. Bardzo kochała matkę. Gdy zostały same, stały się sobie ogromnie bliskie, teraz jednak matka miała Martina, Shelley zaś dwóch uroczych, przyrodnicich braciszków: Jamesa i Timothy'ego. Poza tym Shelley miała własne potrzeby; dopiero po otrzymaniu tego listu zrozumiała, jak bardzo były głębokie i naglące. Miłość, która ją przepełniała przez pierwsze siedem lat życia, nigdy nie wygasła. Nauczyła się jedynie nie dopuszczać do siebie zbyt ostrego bólu.

Jej przyjazd miał być wielką niespodzianką. List od ojca nadszedł trzy miesiące temu. Odpisała mu. Była jednak wówczas pochłonięta swym pierwszym poważnym wernisażem. Wystawa, która odniosła nadspodziewany sukces, teraz była już tylko miłym wspomnieniem i Shelley nareszcie mogła porzucić wszystko

i pojawić się w domu swego ojca. Bez telefonu. Bez listu. Bez uprzedzenia. Kupiła bezterminowy bilet powrotny i zamierzała skorzystać

z niego w dowolnie wybranej chwili, gdy tylko uzna, że raz na zawsze opuściły ją przykre wspomnienia. Najważniejsze to dać ojcu szansę... Tym pragnieniem wiedzioną jechała mu na spotkanie.

Shelley oderwała rękę od kierownicy, by przetrzeć oczy. Czowała się ogromnie zmęczona. Od kilku dni była w ustawicznej podróży. Najpierw przelot z Tasmanii do Brisbane, stolicy stanu Queensland, gdzie przenocowała, a potem znów długi lot do Cairns, leżącego w północnej, tropikalnej części stanu. Dla Shelley, przywykłej do niedużych wysp nowozelandzkich, te odległości wydały się przerażające. Mały samochód, który wynajęła w miasteczku Marente, nie miał klimatyzacji, absolutnie koniecznej w tym klimacie, z czego dopiero teraz zdała sobie sprawę i rychło w czas pożałowała swej powodowanej oszczędnością decyzji. Niemniej jednak uparcie posuwała się naprzód. Oblewał ją pot, podkoszulek kleił się do piersi i pleców. Już dobre pół godziny jechała zgodnie ze wskazówkami, jakich udzielił jej ojciec w liście. Nareszcie skręciła z głównej drogi w wyżwirowany trakt, który piał się pomiędzy nie kończącymi się korytarzami trzciny. Z lewej strony majaczył w oddali groźny, zasnuty mgłą masyw Wielkich Gór Wododziałowych, odgradzający żyzną, nadbrzeżną równinę od wypalonego słońcem interioru. Z prawej strony, całkiem niespodziewanie za zakrętem, wyłoniła się bezkresna przestrzeń usianej palmami plaży, której piasek przypominał białą, krystaliczną sól. A dalej morze, wspaniałe szumiące morze!

Shelley syciła się chłodnym, lekko słonawym powietrzem. Od zbocza porośniętego gąszczem dzikich orchidei bił odurzająco słodki zapach. Przez chwilę miała wrażenie, że dostrzega zarysy przybrzeżnych wysepek koralowych, ale słońce było tak oślepiające, powietrze tak

rozmigotane srebrzystymi promieniami, że być może jedynie doznawała złudzenia.

Ujechała jeszcze kawałek drogi i wreszcie dotarła do posiadłości swego ojca - plantacji Bellevue.

Niemal ją przejechała, bowiem żelazną bramę maskowała kaskada białych powojów, a ceglany filar, z wymalowaną na nim nazwą plantacji, tonął w bujnej błyszczącej zieleni. Shelley uśmiechnęła się pod nosem na wspomnienie matczynych przestróg, żeby nie zdziwiła się, jeśli zastanie ojca bez grosza przy duszy. Wszystko możliwe, ale nawet jeśli to było prawdą, przynajmniej mieszkał w cudownym otoczeniu. A poza tym przyjechała tu jedynie w imię miłości...

Chwilę później jechała długim, nieskończenie długim podjazdem ubitym na żyznej, czerwonej glebie. Ciągłe nie było widać śladu domu. Splecione gałęzie wielkich drzew tworzyły jakby ciemny tunel i Shelley przez moment odczuła cień niepokoju. Ptaki niespodziewanie umilkły, a w powietrzu zawisła ciężka duchota. Droga czas jakiś wiła się niewielkimi zakrętami i wreszcie wypadła na otwartą przestrzeń.

To było jak kolorowy sen!

Oczom Shelley ukazał się stary, drewniany dom otoczony szeroką werandą, która gięła się pod ciężarem splecionych orchidei, pnączy i paproci. Biała farba łuszczyła się na złączeniach desek, a blaszany dach wyblakł, przybierając sinoniebieski kolor, podobnie jak żaluzje w balkonowych oknach werandy. Wzrok przybysza przykuwały szerokie wejściowe schody, obrośnięte z obu stron precudnej urody krzewami o jasnokremowych kwiatach. Wokół strzelały w górę palmy. Artystyczne oko Shelley chłonęło to wszystko w oszołomieniu i zachwycie.

Dom wyglądał na opuszczony. Wszystkie okna wychodzące na werandę były pozamykane i zasłonięte żaluzjami. Shelley stwierdziła niebawem, że drzwi frontowe były również zamknięte. Ojca nie było w domu. Cóż, właściwie dlaczego miałyby być? Przecież się jej nie spodziewał. Czując narastające zmęczenie, opadła ciężko na jedno z bambusowych krzeseł i przez chwilę podziwiała małe paprotki wyrastające spomiędzy belek, jakby chciały wdrzeć się do wnętrza domu. Była bardziej wyczerpana, niż sądziła. Właściwie nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Nie dałaby rady dojechać z powrotem do miasta. Ostatecznie znajdowała się w domu swego ojca i nawet jeśli chwilowo był nieobecny, przecież zaprosił ją tutaj...

Z wysiłkiem wstała z krzesła i podeszła do balkonowego okna. Mocno szarpnięte żaluzje zazgrzytały i uniosły się do góry, a szklane drzwi ustąpiły pod wpływem pchnięcia.

-Jest tam kto? - krzyknęła trochę bez sensu, a potem weszła do środka.

Znalazła się w przestronnym pomieszczeniu, umeblowanym skromnie, ale z dużym smakiem. Pierwszą rzeczą, jaka przykuła jej uwagę, był wspaniały obraz, podpisany w prawym dolnym rogu: Stuart. To było jej nazwisko. Czyżby ojciec go namalował? Wyłowiła z pamięci scenę, gdy ojciec demonstrował jej, jak narysować łódź. Pamiętała jego długie, opalone palce, w których trzymał ołówek... Nie do wiary! Czyżby jej talent nie był kwestią przypadku?

- Kocham cię, tatusiu - powiedziała głośno.

Ostrożnie dotykała palcami rozmaitych przedmiotów. Uchyliła więcej żaluzji i okien, tak że promienie słońca zalały błyszczącą podłogę

w kolorze ciemnego miodu oraz rozrzucone na niej różnobarwne dywaniki. Zmysłowy zapach piżma drażnił nozdrza; na czoło wystąpiły jej krople potu. Gdy tylko obejrzy dom, zrobi sobie orzeźwiająca kąpiel.

Na ścianach wisiało więcej obrazów, znajdowały się tu również wysokie półki z książkami, politurowane stoliki, bambusowe meble - sofy i krzesła obite białym indyjskim płótnem, a gdzie nie spojrzeć mnóstwo ceramiki i rzeźb pochodzących z Bali.

W tylnym ogrodzie, skąd rozciągał się widok na bezkresne pola trzciny, rozrośnięty, wysoki na kilka metrów krzak bugenwilli tworzył nieprzeniknioną, różową ścianę. Co za widok!

W głównej sypialni, urządzonej meblami z Bali, na niskim podeście stało szerokie łóżko; były tu również bogato ornamentowane krzesła oraz rzeźba naturalnej wielkości, przedstawiająca siwę. Wnętrze tchnęło niezwykłym spokojem. Przestronny pokój na końcu korytarza nosił ślady niedawnych przeróbek. Ściany pomalowano na ciepły koral. Tutaj także dominującym elementem było bogato rzeźbione balijskie łóżko. Obok długiej, lśniącej ławy przy drzwiach balkonowych stał fotel pokryty kwiecistym materiałem. Styl tego wnętrza wskazywał, że pokój przeznaczono dla młodej kobiety. Czyżby dla niej?

Zmrok zapadł zadziwiająco szybko. Przez moment podziwiała płomienny zachód słońca - niebo stało się fioletoworóżowe, potem granatowe i wreszcie czarne jak sadza. Shelley w pośpiechu wróciła do domu i pozapalała światła. Odczuła lekkie zdenerwowanie. Była tu sama, dom leżał na odludziu... Telefon zdawał się bezużyteczny. Nie знаła nikogo, do kogo mogłaby zadzwonić. Nie znała nawet nazwiska współnika swego ojca.

Mimo upału starannie pozamykała wszystkie okna i drzwi. Wentylatory pod sufitami przynosiły trochę ulgi. Kąpiel pod prysznicem podziałała orzeźwiająco. Umyła również włosy. Długie, gęste i kędzierzawe tworzyły teraz jakby aureolę. Ich popielaty kolor kontrastował z oliwkową cerą i ciemnymi, piwnymi oczami, które odziedziczyła po matce, Włoszce. Rysy twarzy, włącznie z dołeczkiem w podbródku, oraz długie, smukłe kończyny miała po ojcu.

Włożyła leciutką nocną koszulę i wsunęła się do łóżka. Przezornie nie zgasiła światła. Dwie palące się lampy oblewały pokój miękkim, złotawym blaskiem. Zamknęła oczy. Słyszała cichy szmer wentylatora, z zewnątrz dobiegało donośne dzwonienie cykad i przeraźliwe piski nietoperzy, żerujących na drzewach mangowych. Wszystko było tak bardzo, bardzo inne.

Zapadła w sen. Śniła jej się dżungla pełna kwitnących orchidei i ogromnych, drapieźnych roślin.

Obudziła się godzinę później, w półprzytomna, odurzona intensywnym zapachem gardenii, który, mimo zamkniętych drzwi i okien, przenikał do wnętrza niczym gęsta, wonna mgła. Ni to na jawie, ni we śnie słyszała jakieś dźwięki... W sekundę oprzytomniała. To nie był sen. Ktoś chodził po domu.

Na moment zastygła z przerażenia. Instynktownie sięgnęła po szlafrok, ale bezwładne palce odmawiały posłuszeństwa. Z salonu dochodził wyraźny odgłos kroków. Po chwili ktoś krzyknął: „Kto tu jest?” To nie był głos jej ojca. Był to mocny, dźwięczny głos młodego mężczyzny.

Serce podeszło jej do gardła. Znajdowała się sama w opuszczonym domu, sama z nieznanym człowiekiem... Gorączkowo rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby posłużyć za broń, ale nic się nie nadawało. W popłochu zerwała się z łóżka. Lepiej zrobi, dotrzymując towarzystwa żabom rechoczącym w trzcinnie. Klnąc pod nosem, mocowała się z drzwiami balkonowymi; początkowo stawiały opór i dopiero po chwili, długiej jak wieczność, otworzyły się z rozdzierającym piskiem. Niebo iskrzyło się milionami gwiazd, ale na szczęście księżyc przesłaniała chmura.

Biegła po szerokiej werandzie w kierunku schodów, a jej nocna koszula furkotała jak flaga na wietrze. Byle dalej, byle prędzej! Z pewnością znajdzie jakąś kryjówkę... W ostateczności wdrapie się na potężne drzewo mangowe...

Usłyszała za sobą tupot nóg. Instynktownie odwróciła się, choć niewiele mogła zobaczyć z powodu ciemności i włosów opadających jej na oczy. Miała wrażenie, że ściga ją ogromne, bezkształtne monstrum. Było tuż-tuż.

Nim dotarła do podestu schodów, niespodziewanie znalazła się w żelaznym uścisku silnych, męskich ramion. Nie miała żadnych szans ucieczki. W cienkiej nocnej koszuli czuła się zupełnie bezbronna i zażenowana. Dotyk twardego, męskiego ciała podziałał piorunująco. Przeszył ją dreszcz szalony, dreszcz obłądnego strachu i... seksualnego podniecenia. Co za wybuchowa mieszanka! Wrażenie było tak silne i bulwersujące, że zareagowała jak przerażone zwierzę, kopiąc i wymachując na oślep rękami.

- Mam cię, zjawo! A więc jesteś prawdziwą kobietą... - Głos napastnika zabrzmiał dziwnie namiętnie.

- Precz z łapami! - krzyknęła gwałtownie, zmieszana własnym podnieceniem.

- Udowodnię ci, że jestem dżentelmenem - powiedział jakby ubawiony sytuacją.

Gdy tylko ją puścił, jak oszalała rzuciła się w dół po stromych schodach.

- Uważaj na węże! - zawołał za nią.

- Węże?! - Pędząc na oślep, potknęła się o wystający kamień i oniemiała z bólu przystanąła.

- Wracaj, ty mała idiotko! - Głos mężczyzny zdradzał coraz większe zniecierpliwienie. - Nie musisz się mnie obawiać. Chcę tylko porozmawiać. Zdradziłaś się, zostawiając zapalone światła.

Przez moment Shelley zrobiło się bardzo głupio. Mężczyzna zupełnie nie wyglądał na bandytę. Właściwie mógł być nawet policjantem. Powinna zatrzymać się i spytać go o to. W atramentowym mroku dostrzegła zarysy rogów jelenich przyczepionych do ściany domu. Wyglądały złowieszczo jak głowy mitycznych bestii. Coś muskało ją w szyję i chciało jej się kichać, ale zamiast kichnięcia wydała z siebie krzyk tak przeraźliwy, że przestraszył ją samą.

- Na miłość boską! - zawołał nieznajomy. - Przestań tak upiornie wrzeszczeć. Nie jestem złodziejem ani gwałcicielem.

- Jesteś policjantem? - wyrzuciła z siebie bez tchu.

- Dobrze sobie! Więc to ty będziesz zadawać pytania? - Podszedł do niej pewnym krokiem i chwycił ją za gołe ramię. - Lepiej chodźmy stąd. Bądźże rozsądna!

Księżyc wyłonił się zza chmur i widzieli się teraz całkiem wyraźnie.

- Prowokujesz los, ubrana tylko w poświęcenie księżycy - odezwał się głosem niemal przyjaznym.

Była całkiem zbita z tropu.

- Nie spodziewałam się niczyjego towarzystwa - rzekła niepewnie.

- Doprawdy? W takim stroju mogłabyś ściągnąć tłum. Może jednak zechcesz wejść na górę? - dodał przesadnie uprzejmym tonem.

- Idź pierwszy - powiedziała, ciągle nie mogąc opanować drżenia.

- Mam pozwolić, żebyś znów uciekła? Zapomnij o tym! - Nim zdołała się spostrzec, podniósł ją jak piórko, przerzucił sobie przez ramię i zaczął iść po schodach.

Zaskoczona Shelley poddała mu się bez oporu. Reakcje tego mężczyzny były nieobliczalne; był odważny aż do zuchwalstwa i, jak widać, bardzo silny fizycznie, bo niósł ją, jakby była dzieckiem, choć nie należała do małych, filigranowych kobietek. W sypialni zatrzymał się na moment i Shelley ponownie zadrżała z niepokoju. Czyżby chciał ją skrzywdzić? Nie mogła opanować strachu, jakkolwiek powoli docierało do jej świadomości, że ma do czynienia z człowiekiem dobrze urodzonym. To stwarzało pewne nadzieje...

-Przestań się trząść - powiedział uspokajająco. - Nie zrobię ci krzywdy. - Rzucił ją na łóżko z takim impetem, że odbiła się kilka razy od materaca. - A więc przed kim uciekasz? Przed ojcem? Chłopakiem? Mam nadzieję, że nie jesteś narkomanką?

- Narkomanką? - powtórzyła jak echo. Chyba był stuknięty!

Nigdy w życiu nie spróbowała narkotyków. Sięgnęła po szlafrok i skuliwszy się na łóżku, bez słowa zaczęła go wkładać.

Westchnął zniecierpliwiony, przeszedł przez pokój i zapalił światło.

- No, no, no! Aż trudno uwierzyć, że takie blond niewiniątko jest zwykłą włamywaczką.

Pod wpływem jego hipnotyzującego spojrzenia Shelley skrzyżowała ramiona w niemym geście obrony. Był diablo przystojny, pełen magnetycznego, zniewalającego wdzięku - wysoki, smukły, o szerokich ramionach i długich nogach atlety. Z podziwem wpatrywała się w twarz o szlachetnych rysach i oliwkowej cerze. Miał gęste i falujące włosy, które były bardzo ciemne, choć teraz światło wydobywało z nich rudawy przeblask mahoni. Ale największe wrażenie robiły jego oczy. Były niesamowicie jasne, tak jasne, że w ciemnej, opalonej twarzy zdawały się iskrzyć jak dwa misternie oszlifowane diamenty. Shelley pomyślała, że obrazu tego mężczyzny nigdy nie wymaże z pamięci. Był najprzystojniejszym facetem, jakiego kiedykolwiek w życiu spotkała. Po prostu - uosobieniem męskości. Z wrażenia odebrało jej mowę.

- Zatkaną cię? - rzucił sarkastycznym tonem, przypatrując się jej uważnie i nie pojmując przyczyny jej zakłopotania.

- Nie przywykłam do wizyt nieznajomych mężczyzn w swojej sypialni - odparła rezolutnie.

- Od kiedy to jest twoja sypialnia? Kimże, u diabła, jesteś?

Shelley wstała z łóżka i powoli zawiązała pasek od szlafroka.

-To ty jesteś tu intruzem, i w dodatku próbujesz mnie zastraszyć - powiedziała ze sztuczną pewnością siebie. - Nazywam się Shelley Stuart. Mark Stuart jest moim ojcem.

Popatrzył na nią twardo, arogancko. W oczach jego czaiła się złość.

- Niezłe z ciebie ziółko! - powiedział w końcu, tonem pełnym zimnej pogardy. - I co cię sprowadza do szanownego tatusia?

Nie spuszczał z niej wzroku. Twarz miał kamienną, tylko oczy mu pałały. Nikt nigdy tak na nią nie patrzył. Poczwała dziwny, niepokojący dreszcz emocji.

- Zrobię kawę - oznajmił po dłuższym milczeniu. - Ubierz się i zejdź do kuchni.

- Nie mam najmniejszej ochoty na nocne pogawędki. - Odzyskała nieco pewności siebie. - Kim ty właściwie jesteś?

- A nie domyślasz się? - Popatrzył na nią z lekką pogardą i wyszedł, starannie zamykając za sobą drzwi.

Czyż mógł być współnikiem jej ojca? Niemożliwe... Był stanowczo za młody, miał niewiele ponad trzydziestkę. Zaintrygowana, przebrała się prędko w dzinsy i świeżą bluzkę i zeszła do kuchni.

Parzył kawę. Najwyraźniej czuł się tu jak u siebie w domu. Słyszając, że Shelley wchodzi, odezwał się, nie odwracając głowy:

- Jestem Raf Conway. Coś ci to mówi?

- Nic a nic. - Odsunęła krzesło i usiadła przy stole. Raf to chyba skrót od Raphaela, myślała. Być może jest z pochodzenia Włochem...

Odwrócił się z badawczym błyskiem w oczach.

- Jestem współnikiem twojego ojca - wyjaśnił.

- Och! - A więc myliła się. - Mam nadzieję, że to nie oznacza, że muszę cię lubić.

-Mam wrażenie, że potrzebujesz przyjaciela. -Oparł się o blat stołu. - Po co tu pani przyjechała, panno Stuart?

- Na zaproszenie - powiedziała z nagłą werwą. - Myślałam, że orientujesz się w sprawach mojego ojca.

- Lepiej niż ktokolwiek inny - przyznał. - Marko stroni od ludzi.

-Wiem. Odszedł z naszego życia, gdy miałam zaledwie siedem lat.

Okropnie za nim tęskniłam...

- Czyżby? - wtrącił zjadliwie.

- Tęskniłam! - niemal krzyknęła. - A poza tym to nie są twoje sprawy.

Popatrzył na nią z ukosa, podejrzliwie, prawie z odrazą.

-Marko jest moim przyjacielem. To niezwykle inteligentny, wrażliwy człowiek i wspaniały artysta, choć pod wieloma względami wygląda na złamanego przez życie.

W jego słowach kryło się wyraźne potępienie. Shelley przeraziła się.

- Co... co go tak złamało?

-To, co w życiu najważniejsze: rodzina. Twoi rodzice nie mogli ze sobą wytrzymać, ale to jeszcze nie powód, żebyś wykreśliła ojca ze swego życia.

- Nie masz prawa mnie sądzić - wykrztusiła, wstrząśnięta tym bezpodstawnym zarzutem. - O niczym nie masz pojęcia.

- Mylisz się - rzekł dobitnie. - Marko mi się zwierzał. Dokładnie pamiętam wszystko, co mi opowiadał, i doskonale wiem, że nigdy nie raczyłaś odpowiedzieć na listy, które regularnie do ciebie wysyłał.

- Przez całe szesnaście lat ojciec nigdy do mnie nie napisał - powiedziała z uporem. - Ani słowa, rozumiesz?

- A więc dlaczego tu przyjechałaś? - spytał tonem zaczepki.

Shelley uniosła swe piękne, tajemnicze oczy.

- Dostałam jeden list, słownie: jeden.

- Czy ten, w którym opisał ci swoje interesy?

- O czym ty mówisz? - spytała bez tchu, dotknięta do żywego tą insynuacją.

Na jego pięknie wyrzeźbionej twarzy pojawił się drwiący wyraz.

-A więc nic cię to nie obchodzi? Doprawdy? - Mierzył ją zimnym, pogardliwym spojrzeniem. Jej smukłą sylwetkę, miękkie, aksamitne oczy i niesforną kaskadę złotych włosów. - Niewiniątko! - wycedził zgryźliwie.

-Skąd w tobie tyle niechęci? Nawet mnie nie znasz.

- Znam cię lepiej, niż sądzisz. - Nalał kawy do dwóch fajansowych kubków i postawił je na stole.

- Dlaczego nie przywiozłaś ze sobą mamusi?

Shelley poczuła, jak ciarki przechodzą jej po plecach. Ten obcy człowiek z niezrozumiałych powodów był jej wrogiem i nic na to nie mogła poradzić.

- Moja matka ma własne życie - wyjaśniła niechętnie. - Wyszła ponownie za mąż. Mam dwóch małych przyrodnych braci.

- Czyżby dla ciebie nie starczało tam miejsca?

- Usadowił swe gibkie ciało na krześle naprzeciw niej. Głos miał spokojny, tylko jasne oczy o diamentowym połysku błyszczały złośliwie.

Shelley zarumieniła się i nerwowo zacisnęła palce na kubku.

- Moja rodzina mnie bardzo kocha, ale jestem już dorosła i od pewnego czasu wynajmuję osobne mieszkanie.

Przesunął wzrokiem po jej twarzy i szyi, wąskich ramionach i piersiach.

- No tak, masz już dwadzieścia trzy lata... I powiadasz, że to z powodu swej nagle odkrytej dorosłości postanowiłaś złożyć tatusiowi wizytę?

- Nic mnie nie obchodzi, co o tym sądzisz! - uniosła się gniewem.

- Posłuchaj, nie interesuje mnie twoja szanowna osoba, ale martwię się o Marka. Wyrządzono mu już w życiu wystarczająco wiele krzywd. Wyjechał teraz do Brisbane na kilka dni. Zostawił jak zwykle pod moją opieką dom i psy. Zobaczyłem światło i postanowiłem sprawdzić, co tu się dzieje. Okolice pełne są włóczęgów.

- Ojciec nie mówił ci, że przyjadę? - spytała.

- Mówił - przyznał - ale to było trzy miesiące temu. Osobiście nie wierzyłem ani przez chwilę, że przyjedziesz. Żał mi było Marka, bo łudził się nadzieją. Tyle się już nacierpiał...

- A ja to nie?

-Ty, dziecinko? - zdziwił się w sposób mało przyjemny.

- A jak myślisz, co czułam, wychowując się bez ojca? Kochałam go i tak mu ufałam... A on mnie opuścił - skarżyła się jak pokrzywdzone dziecko.

- Musiał mieć poważny powód. Shelley potrząsnęła nerwowo głową.

- Nie ma tak ważnego powodu, by opuścić własne dziecko - zaperzyła się. - Ja bym tego nigdy nie uczyniła. Będę najlepszą matką na świecie!

- Widzę, że masz ambitne plany - zakpił. - Mam nadzieję, że wprawdzie zamierzasz wyjść za mąż?

- Oczywiście. Zawsze sobie wyobrażałam siebie w roli panny młodej.

- Jesteś tak piękna i wspaniała, że nie będziesz musiała długo czekać. Ale powiedz mi lepiej, na jak długo przyjechałaś? Ciekaw jestem, na ile wyceniasz Marka.

Zareagowała gwałtownie, automatycznie. Uniosła rękę i prawie udało jej się uderzyć go w twarz. Chwycił ją w ostatniej chwili za nadgarstek, przytrzymał rękę w powietrzu, a potem siłą położył na stole.

- Kto by pomyślał! Anioł o porywczym charakterku! Powinnaś panować nad sobą, złotko.

- Jakie masz prawo mnie krytykować? - rzuciła z furją. - Nic o mnie nie wiesz!

- Powiedziałem już, że wiem wystarczająco dużo, ślicznotko. - Dopił kawę i wstał. - A teraz zechciej spakować manatki. Nie zostawię cię tu.

- Nigdzie nie pójdę! - Oparła się o krzesło i chwyciła za oparcie.

- Następny włamywacz może nie być takim sympatycznym dżentelmenem jak ja - powiedział z drwiną.

- Jesteś najbardziej odpychającym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałam - odcięła się. Roześmiał się szeroko.

- Wiesz, co myślę? Podejrzewam, że znudziła ci się Nowa Zelandia i postanowiłaś przyjechać, by tu poszukać szczęścia. Zapewne słyszałaś o obrazach Marka? Nikomu ich nie pokazywałam, aż wreszcie zainteresowałam nimi odpowiedniego agenta. Takie wieści mają skrzydła.

- Nie miałam pojęcia, że ojciec maluje... - powiedziała tonem usprawiedliwienia. Właściwie dlaczego się tłumaczyła?

- A więc, ot tak sobie, zdecydowałaś się przyjechać?

- Nie potrzebuję twojej aprobaty!

-I jej nie dostaniesz. - Obdarzył ją ostrym, nagannym spojrzeniem. - A teraz bądź tak dobra i spakuj rzeczy. Marko nie byłby zachwycony Wiedząc, że jego ukochana córka nocuje tu sama. Wróci dopiero w piątek. Nie chcę brać na siebie odpowiedzialności za jego bezcenny skarb.

- Sama odpowiadam za siebie. Uniósł brwi.

- Czyż to nie ty przed chwilą uciekałaś w popłochu, uzbrojona jedynie w muślinową koszulkę? Zastanów się, co zrobisz, gdy włamie się tu prawdziwy chuligan? Pełno ich się tu kręci.

-Możesz sprowadzić psy - odparła niepewnie, coraz bardziej przekonana do jego argumentów.

- Posłuchaj - powiedział ostro - miałem ciężki dzień i nie zamierzam robić ci specjalnych uprzejmości.

Shelley wstała, zaniósła kubki do zlewu i umyła je.

- W porządku - Zgodziła się w końcu. - Przenocuję u ciebie, ale jutro przywiozę tu psy. Jakiej są rasy?

- Dobermany, złotko. Od kilku dni na diecie. Nie licz, że zapalają do ciebie miłością od pierwszego wejrzenia.

Kwadrans później, siedząc w jego terenowym samochodzie, odezwała się:

- Nie wiem, czy nie wpadam z deszczu pod rynnę...

- Wypraszam sobie - odparł zjadliwie. - Gwarantuję ci bezpieczeństwo, Nie ukrywam jednak, że nie podobają mi się twoje zamiary.

- Nie mam żadnych zamiarów. Nawet nie wiem, o czym mówisz.

- Nie mam do ciebie za grosz zaufania, cara. Obydwoje byli źli i podminowani. A jednak to czułe słówko cara wymówił bardzo ciepło.

-Należysz do mężczyzn, którzy bardzo stereotypowo oceniają kobiety. Zapewne uważasz mnie za poszukiwaczkę złota?

- A nie jesteś nią? Uśmiechnęła się gorzko.

- Nie mam żadnych ukrytych planów, uwierz mi. Ojciec pisał...

- Przez lata - dopowiedział cierpkim tonem. - Wysyłałem Wiele jego listów. Odnalazłem nawet twój nowy adres. Czy to cię nie przekonuje, że jestem prawdziwym przyjacielem Marka?

- Posłuchaj - odparła znużonym głosem. - Niczego nie oczekuję i na nic nie liczę. Do tej pory jedyne, co miałam po ojcu, to wspomnienia.

- Pominąwszy prezenty i pieniądze, prawda? - rzucił szyderczo. - Nie powinnaś zapominać o pieniądzach.

Ścisnęło ją w gardle z wrażenia. Mówił o sprawach, o których nie miała najmniejszego pojęcia!

- Pieniądze? - szepnęła zaszokowana.

- Założę się, że brylowałaś w szkolnym kółku teatralnym - rzekł tonem szyderczego podziwu. - To zdziwienie odegrałaś naprawdę po mistrzowsku. A pereł wysłanych ci na dwudzieste pierwsze urodziny też nie pamiętasz? Poleciał specjalnie do Broome, żeby je kupić. Kosztowały majątek. Najpiękniejsze na świecie, prawdziwe perły z Mórz Południowych!

- To prawda - skłamała. Musiała skłamać. Jeśli to, co mówił, było prawdą, to znaczy... że matka latami ją oszukiwała! Widać takie postępowanie uznała za najśluszniesze.

- Co za zmiana frontu! - roześmiał się sarkastycznie. - Sama widzisz, iż trudno uwierzyć, że przyjechałaś tu zupełnie bezinteresownie. Wygląd aniołka, ale główka pracuje, nieprawdaż? Żal mi Marka. Jego miłość do ciebie przypomina okrutny żart.

- On też przysporzył mi wielu zmartwień — zaczęła się beznadziejnie bronić. - Podarunki nikomu nie zastąpią ojca...

- Chyba wiedziałaś, że ojciec walczył o opiekę nad tobą - nie dawał za wygraną Raf. - I przegrał. Mężczyźni na ogół są bez szans. A potem twoja matka uciekła do Nowej Zelandii. - Widząc, że Shelley drży z emocji i zmęczenia, dodał łagodniejszym tonem: -Dajmy temu spokój na dziś. Jesteś młoda. Nadejdzie czas, żeby wszystko wyjaśnić.

-To sprawa między mną a ojcem. Niepotrzebnie się mieszasz.

- Pragnę cię jedynie uczulić, byś nie okazała mu zbyt jawnie swej pazerności. Ma o tobie zupełnie inne wyobrażenie.

- A skąd ty mnie tak doskonale znasz? - spytała z wściekłością. - Na jakiej podstawie wyrobiłeś sobie o mnie tak niepochlebne zdanie? Widzę, że mnie tu nie chcesz, ale nie martw się, przyjechałam tylko na wakacje, i nie obejrzysz się, jak wrócę do Nowej Zelandii.

- Nie będę cię zatrzymywał.

- A może mój przyjazd w jakiś sposób miesza ci szyki, co? - ciągnęła rozłoszczona. - Twierdzisz, że jesteś współnikiem mojego ojca, ale przecież on jest od ciebie o wiele starszy. To dość dziwny i niespotykany układ, nieprawdaż? Czego ty właściwie od niego chcesz?

- Pragnę cię poinformować, że nie jestem na dorobku i nie muszę na nikim żerować - oznajmił lodowatym tonem.,

Na policzkach Shelley pojawiły się rumieńce. Tego było za wiele jak na jeden Wieczór.

- Zatrzymaj się!

- Ani mi się śni - mruknął. - Jesteśmy już prawie na miejscu.

- Musiałam być szalona, że z tobą pojechałam.

- Mogłaś trafić gorzej. Posłuchaj, jutro jadę z powrotem do Bellevue.

Mogę cię ze sobą zabrać na kilka godzin.

W napiętej ciszy wspinali się w kierunku cypla, gdy nagle wyłoniła się spoza palm ogromna, rześście oświetlona rezydencja.

- Co za wielki dom! - zdziwiła się Shelley.

- Owszem, spory - przyznał rzeczowo.

- Po co tam jedziemy? - spytała zaskoczona, gdy skręcił w prywatną drogę.

- Nie masz ochoty zobaczyć go z bliska? - roześmiał się niskim, zduszonym śmiechem.

W ciemności majaczyła przed nimi ogromna, misternie kuta żelazna brama. Raf posłużył się pilotem i brama z wolna poczęła się otwierać.

- Pracujesz tu? - spytała zmieszana. Z tej odległości dom wyglądał niczym baśniowa twierdza.

- Posłuchaj, ślicznotko, to mój dom. - W jego głosie słyhać było irytację.

- O Boże! - westchnęła z podziwem. - Jakim cudem facet w twoim wieku dorobił się takiego domu?

- Znów przemawia przez ciebie skrupulatny rachmistrz? - roześmiał się pogardliwie. - Wyjaśnię ci, wścibska panienko. Robię interesy. I jestem sprytny. Bardzo sprytny. Powinnaś o tym pamiętać.

Zajechali przed dom podjazdem wysadzonym białymi liliami. Po obu stronach marmurowych schodów rosły okazałe palmy daktyłowe. Gdy Shelley podziwiała ogromną, szklaną fasadę domu, młoda kobieta w długim kwiecistym sarongu otworzyła suwane drzwi.

- Raphaelu! - zawołała zniecierpliwionym tonem.

- Już jestem - odparł.

A więc był żonaty! Właściwie dlaczego nie miałby być? Taki przystojny mężczyzna...

- Jesteś żonaty? - spytała pod wpływem nagłego impulsu.

Spojrzał na nią lodowatym wzrokiem.

- Nie. Kobiety działają mi na nerwy, ślicznotko. To moja kuzynka, Daniella. Przyjechała w odwiedziny, z Włoch.

Daniella z bliska okazała się znacznie młodsza, niż Shelley początkowo przypuszczała. Miała niewiele ponad dwadzieścia lat, była drobną, ciemnowłosą dziewczyną o ruchach energicznych, ale pełnych elegancji. Shelley pomyślała, że jako kobieta dojrzała Daniella będzie niewątpliwie olśniewająca. Biła od niej pewna wyniosłość - zapewne charakterystyczny rodzinny rys. Jeśli byłaby ptakiem, z pewnością trzepotałaby skrzydłami dla zaznaczenia swego terytorium.

Przez chwilę Daniella nie zrobiła nic, nie odezwała się, patrzyła tylko na Shelley wzrokiem pełnym niedowierzania.

- Kim jest ta osoba, którą ze sobą przywiozłeś? - wykrztusiła w końcu, podchodząc do Rafała Conwaya i łapiąc go za ramię.

Ton głosu ją zdradził. Shelley w lot pojęła, że Daniella bardziej przypomina zazdrosną kochankę, niż przybyłą z przyjacielską wizytą kuzynkę.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Shelley spała doskonale. Obudził ją trzepot dzikich papug, które raz po raz przelatowały za oknem. Spod przymkniętych powiek obserwowała przez chwilę ich bajecznie kolorowe upierzenie. Lubiła ostre, żywe kolory. Podobnie jak jej ojciec. Spojrzała na obraz wiszący nad orzechową komodą. Poznawała już te śmiałe linie pędzla. Płótno zdawało się narzucać tonację całemu wnętrzu, jakby promieniowało różowoniebieskim światłem na inne przedmioty.

Rozejrzała się po pokoju. Był urządzony pięknie i elegancko. Obok znajdowała się garderoba i ekskluzywnie wykończona łazienka. W zasięgu ręki miała telefon przeznaczony do wewnętrznych rozmów. Raf Conway poinformował ją wczoraj, że może zejść na śniadanie o dowolnej porze albo, jeśli zechce, może poprosić o przyniesienie sobie tacy na górę. Wystarczyło zadzwonić do kuchni. Widać miał służbę, która spełniała wszystkie jego zachcianki. Zagadkowy człowiek z tego Rafa Conwaya... Shelley musiała przyznać, że przepych tego miejsca zrobił na niej wielkie wrażenie.

Świadczył o bogactwie, wielkim bogactwie właściciela.

Wyślizgnęła się z łóżka i w szlafroku wyszła na marmurowy taras. Roztaczał się stąd wprost urzekający widok. Morze wyglądało jak jedwabna, turkusowa chusta rozpięta aż po horyzont, a w oddali majaczyły zarysy przybrzeżnych wysepek. W zatoce, przy długim, białym moło, przycumowany był wspaniały jacht.

Shelley odrzuciła głowę do tyłu, by poddać twarz słońcu. Kochała słońce i wiatr, upał i żywe ostre kolory.

- Cześć! - zawołał ktoś do niej z niższego tarasu.

- Dzień dobry! - wychyliła się przez balustradę i zobaczyła Rafa Conwaya. Tego poranka wyglądał jak model od Armaniego. Miał na sobie luźny, kremowy sweter, białe, lniane szorty, zakończone mankietami i również białe mokasyny.

- Dobrze spałaś? - zagał.

- Owszem, wrócił mi dobry humor. - Wiatr szaleńczo rozwiewał jej włosy, tak że tworzyły wokół głowy przedziwną złotą aureolę.

- Spuścisz mi na dół warkocz, żebym mógł wejść na górę? - żartował.

Roześmiała się. Co za zmiana w porównaniu z wczorajszym wieczorem!

- Czekam na ciebie ze śniadaniem - zawołał. - Och, to miło z twojej strony – powiedziała z uśmiechem.

- Muszę dbać o ukochaną córeczkę Marka - skwitował z błyskiem w oczach.

Miły nastrój przysł.

Ubierając się, Shelley stwierdziła, że musi kupić sobie trochę letniej garderoby, odpowiedniej do tego klimatu. Dzinsy, choć wspaniale podkreślały jej gibką figurę, były stanowczo za ciepłe. Potrzebowała wydekoltowanych sukienek, podkoszulków i przewiewnych spódnic. Sarong, w którym wystąpiła wczoraj Daniella, był niewątpliwie najlepszym strojem na upał. Trzeba przyznać, że kuzynka Rafa wyglądała w nim niezwykle podniecająco. Kuzynka czy nie, niemniej jednak jej

zainteresowanie Rafem Conwayem nie wskazywało li tylko na rodzinne uczucia. Tego Shelley była pewna. Nie miała również wątpliwości, że Daniella niechętnie widzi ją w tym domu. Im prędzej stąd wyjadę, tym lepiej, pomyślała, podwijając rękawy białej, płóciennej koszuli. Energicznie rozczesała włosy i była gotowa do wyjścia.

W holu na dole powitał ją mężczyzna w średnim wieku, o charakterystycznej urodzie tubylca z wysp Południowego Pacyfiku. Miał gęste, kręcone włosy, z lekka już siwiejące, i ciemną karnację.

- Dzień dobry, panienko - powiedział melodyjnym głosem. Miał na sobie białą marynarkę z krótkimi rękawami oraz ciemne spodnie. Shelley domyśliła się, że sprawuje tu funkcję majordomusa. Uśmiechnęła się doń przyjaźnie.

- Nazywam się Joseph, panienko. Witamy w White Cliffs. - Jego sympatyczna twarz zdradzała żywotność i poczucie humoru. - Ośmielę się zauważyć, że jest pani bardzo podobna do ojca.

Te słowa sprawiły Shelley przyjemność. Odebrała je jako komplement.

- Dobrze znasz mojego ojca, Joseph? - spytała.

- Owszem. - Twarz mu pojaśniała. - Pływamy z Markiem na ryby. On jest częstym gościem w tym domu. Proszę pójść tędy, panienko. Śniadanie zostanie podane na dworze.

Przy stoliku ustawionym nad basenem czekał na nią Raf Conway.

- Może masz ochotę popatrzeć na przybrzeżne wysepki, nim przyniosą śniadanie? - zaproponował, wskazując teleskop stojący na wysokim trójnogu.

- Chętnie - zgodziła się Shelley z entuzjazmem. - Nigdy w życiu nie widziałam niczego równie fascynującego.

- Ja też nie... aż do wczoraj. - Obrzucił ją szybkim, elektryzującym spojrzeniem.

Nie do wiary, pomyślała z bijącym sercem, ten mężczyzna potrafi wprawić moje ręce w drżenie...

Ujęła lunetę i skierowała ją na morze. Odległe wysepki z bliska ujawniły całą swą krasę. Przypominały pierścionki z nefrytowym oczkiem, otoczonym błyszczącymi rautami białych plaż i niebieskozielonych płycizn. W zatoczce pełnej kolorowych raf dojrzała nawet małą łódkę, z której korzystali nurkowie. Woda była przezroczysta jak kryształ i nieodparcie kusząca.

- To jest prawdziwy raj - westchnęła, odsuwając teleskop i spoglądając na Rafa. - Mam nadzieję, że tak właśnie wygląda niebo.

- A więc wybierasz się do nieba? - Uśmiechnął się łagodnie, ale w oczach pojawiły mu się diabelskie błyski.

- Mam takie same szanse jak ty... a może większe. Och, widzę, że masz wspaniały jacht...

- Łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne... Czy to masz na myśli? - roześmiał się głośno. - Zapewniam cię, że wszystko, co mam, zdobyłem uczciwie.

Shelley wzruszyła ramionami.

- Och, tracę głowę z podziwu.

-A ja myślałem, że usiłujesz dociec, jak na to wszystko mogę sobie pozwolić - zakpił. - Żeglujesz trochę?

- Mój ojczym ma małą żaglówkę. Często pływałam z nim, Kocham morze.

- Tak jak twój ojciec. - Twarz mu stwardniała. - Jak będziesz grzeczna, zabiorę cię na wyspę Angel. Buduję tam ośrodek turystyczny.

- To wymaga dużego kapitału - zauważyła.

- Jestem pewien, że zwróci mi się z nawiązką.

Shelley popatrzyła w zamyśleniu na odległe rafy koralowe.

- Szkoda zniszczyć taki dziewiczy raj - szepnęła.

- Angel będzie dla ludzi, którzy potrafią docenić cuda natury.

- Skąd wzięła się ta nazwa?

- Chodzi o wzgórze w centralnej części wyspy. Jego kształt przypomina skrzydła anioła.

- Czyżbyś był romantykiem? - spytała z niedowierzaniem.

- A nie wyglądam, prawda? - Mówił z wyraźną drwiną, a jednak głos jego brzmiał dziwnie namiętnie.

- Szczerze mówiąc, nie. - Zarumieniła się lekko. - Ale, proszę, opowiedz mi o swojej wyspie. Skąd wziąłeś na to pieniądze? - Och, pytanie było idiotyczne, prowokacyjne, ale zupełnie nie mogła się powstrzymać.

- Czy zaspokoję twoją niezdrową ciekawość, jeśli wyznam, że z handlu narkotykami? - zakpił.

Popatrzył na nią tak ostro, że straciła ochotę na dalsze prowokacje.

- Przepraszam - powiedziała skruszona. - Po prostu jestem oszołomiona twoim bogactwem.

- Czy wiesz, że oczy ci błyszczą, gdy mówisz o pieniądzach?

To przypominało walkę z wiatrakami. Shelley wyjęła lilię z wazonu i zaczęła obracać ją w palcach.

- Usiłuję tylko podtrzymać konwersację - rzekła z godnością. - A skoro już mówimy o interesach, czy przypadkiem nie posiadasz kamieniołomu? Masz tu tyle pięknego marmuru.

Spojrzał na nią z pogardą.

- Mój dziadek miał kamieniołom. Odziedziczyłem go.

- I co jeszcze odziedziczyłeś? - spytała przekornie.

- Widzę, że niepomernie interesują cię moje pieniądze. Czyżbyś zamierzała mnie uwieść, by się do nich dorwać?

Shelley zarumieniła się, zła, że dała się wciągnąć w pułapkę.

- Być może interesują mnie pieniądze - odparowała - ale ty mnie w ogóle nie interesujesz!

Roześmiał się gromko.

- To się dobrze składa, ślicznotko, bo nie mogłabyś liczyć na wzajemność. Obchodzi mnie wyłącznie Marko i muszę dbać o jego interesy.

Na szczęście podano śniadanie i Shelley mogła się chwilę odprężyć. Rozmowa z Rafem Conwayem kosztowała ją dużo wysiłku. Nie potrafiła go do siebie przekonać. Nie potrafiła i nie mogła mu wszystkiego szczerze wyjaśnić. Całe życie popierała i chroniła matkę i nie mogła jej teraz zdradzić. Poza tym odnosiła wrażenie, że cokolwiek by powiedziała i tak by jej nie dał wiary. Był do niej wyraźnie uprzedzony. Uważał ją za chciwą, pazerną osóbkę i nie zamierzał zmienić zdania. Dziwny, trudny mężczyzna... Najwyraźniej jej nie lubił, ale nieustannie czuła na sobie jego wzrok...

Pili drugą filiżankę kawy, gdy nadeszła Daniella. Wyglądała urzekająco pięknie w szykownej czerwonej sukience, której falbaniasty dół kokieteryjnie odsłaniał jej zgrabne nogi.

Raf Conway wstał i podsunął jej krzesło.

- Nie wierzę własnym oczom, Danny! - Zerknął na zegarek. - Kwadrans po dziewiątej i ty już na nogach?

- Nie bądź złośliwcem - uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek. - Zdarza mi się wstać wcześniej. - Spojrzała wesoło na Shelley. - Dzień dobry, signorina. Dobrze pani spała?

- Znakomicie. - Shelley odwzajemniła jej uśmiech. - I proszę nazywać mnie Shelley.

- Och, co za romantyczne imię! Twoi rodzice musieli kochać poezję...

- Nazwano mnie tak po babce ze strony ojca. Shelley było jej panińskim nazwiskiem. Mój ojciec urodził się w Anglii.

- To straszne, że tak dawno się nie widzieliście. Słyszałam, że bardzo cierpiał...

- My też - ucięła krótko Shelley i popatrzyła prosto na Rafa Conwaya, ale jej wymowne spojrzenie nie zdawało się go poruszyć. - Dziękuję za pyszne śniadanie - dodała. - Wybaczcie, ale pójdę się teraz trochę przejść, nim pojedziemy do Bellevue. Obiecałeś, że mnie ze sobą zabierzesz - zwróciła się do Rafa.

- Oczywiście - potwierdził. - Muszę dopilnować tam prac porządkowych. Marko, gdy maluje, przebywa w innym świecie i zupełnie nie dba o codzienne sprawy. Niedługo cię tam zawiozę i zostawię na kilka godzin, zgoda?

- Gdybym miała psy, mogłabym tam nocować -podjęła.
- Właśnie! To świetny pomysł - skwapliwie wtrąciła Daniella.
- Nie sądzę - zaprotestował żywo Raf. - Marko, by mi tego nie wybaczył.

Godzinę później cała trójka wybrała się do Bellevue. Daniella, przebrana w kolejną piękną sukienkę, tym razem żółtą, usiadła z przodu obok swego kuzyna i prawie przez całą drogę rozprawiała z ożywieniem. Siedząca z tyłu Shelley czuła się w jej obecności jak kopciuszek. Wychowana w skromnej rodzinie, nie znająca wielkiego świata i innych krajów, popadała przy Danielli w kompleksy. Ze słów pięknej Włoszki wywnioskowała, że pochodzi ona z bogatej i sławnej rodziny. Jej rodzice mieli fabrykę wyrobów skórzanych i mieszkali w pięknym domu pod Florencją. Shelley dowiedziała się, na co Daniella położyła szczególny nacisk, że łączą ją z Rafem nie tylko więzy krwi, ale także głęboka przyjaźń datująca się od dzieciństwa. Nie miała więc złudzeń, że gorącym pragnieniem Danielli, byłoby uwieńczyć tę przyjaźń zaręczynowym pierścieniem.

Gdy zbliżali się do Bellevue, Shelley zobaczyła kilku mężczyzn kręcących się po terenie, którzy pielili i wycinali przerośniętą roślinność. Wjazd został już oczyszczony, białe powoje poprzycinane. Raf zatrzymał się, by wydać robotnikom dalsze polecenia, a Shelley z Daniella weszły do domu.

- Na jak długo tu przyjechałaś? - spytała Daniella, omiatając salon krytycznym spojrzeniem.

- Jeszcze nie wiem - rzekła Shelley, uruchamiając wentylatory.

Daniella podeszła do dużego obrazu wiszącego na ścianie.

- To całkiem niezłe płótno - oznajmiła z nieoczekiwanym zdziwieniem. - Chciałabym poznać twego ojca. Gdy byłam tu ostatnim razem, rozminęliśmy się. Przez kilka miesięcy nie czuł się najlepiej.

- Chorował? - Shelley ogarnął niepokój.

- Och, nie wiem dokładnie. - Wzruszyła ramionami. - Musisz zapytać Raphaela. - Wiesz... - zmieniła temat - odnoszę wrażenie, że Raf ma jakieś problemy w związku z twoją wizytą.

- Nie rozumiem. - W oczach Shelley pojawił się gniew.

- Och, nie chciałam cię zdenerwować - usprawiedliwiła się Włoszka. - My z Raphaelem nie mamy przed sobą tajemnic. Zwierza mi się ze wszystkiego.

- Możliwe - rzuciła Shelley cierpkim tonem. - Ale nie życzę sobie, by dyskutował o moich prywatnych sprawach.

Daniella zatrzepotała powiekami.

- Och, widzę, że nie brak ci temperamentu. Zakłopotana Shelley, chcąc załagodzić sytuację, wyprowadziła Daniellę na werandę.

- Spójrz na tę bugenwillę - powiedziała łagodnym tonem. - Czyż nie wygląda jak różowy wodospad Niagara?

Daniella bez entuzjazmu rozglądała się po ogrodzie. Dziki, nie uporządkowany pejzaż prawdopodobnie nie odpowiadał jej poczuciu piękna. Po wypowiedzeniu kilku banalnych komplementów, z powrotem skierowała rozmowę na tematy rodzinne. W ciągu kilku minut Shelley dowiedziała się wszystkiego - lub prawie wszystkiego - o rodzinie Rafa Conwaya oraz o roli, jaką w jego życiu odgrywała piękna kuzynka, Daniella. Matka Raphaela była z pochodzenia Włoszką. Jej ojciec, Pietro Marente, wyemigrował do Australii po kłótni z własnym ojcem i już nigdy

nie odwiedził ojczyzny, jednak jego córki często przyjeżdżały do domu, tak że Raphael od dzieciństwa spędzał wiele czasu ze swymi włoskimi kuzynami. Daniella, oczywiście, była jego faworytką.

- Rodzice Rafa mieszkają w okolicy? - spytała Shelley.

Twarz Danielli sposepniała.

- Zginęli w wypadku samochodowym, gdy Raf był małym chłopcem.

Od tamtego czasu mieszkał z dziadkiem.

Shelley była wstrząśnięta. Raf Conway nie wyglądał na człowieka, który by przeżył jakąś tragedię. Sprawił na Shelley wrażenie w czepku urodzonego.

Chwilę później pojawił się na werandzie, by poinformować Shelley, że wydał już odpowiednie polecenia i zbiera się do odjazdu.

- Czy muszę ci towarzyszyć na tym oficjalnym spotkaniu? - spytała Daniella, gdy schodzili ze schodów.

- Oczywiście, że nie musisz, Danny. Ostatnim razem, jak pamiętam, z nudów starałaś się uwodzić dyrektora banku. - Niezmiennie, gdy zwracał się do Danielli, w jego głosie brzmiała nuta sympatycznej pobłażliwości.

- W takim razie pojedę po zakupy! - Daniella poszła przodem, on zaś zatrzymał się na chwilę u podnóża schodów.

- Dasz sobie sama radę przez te kilka godzin, nim wrócę? - zwrócił się do Shelley.

- Z reguły dobrze sobie sama radzę - odrzekła.

- No tak, zapomniałem...

- Znowu zaczynasz? - Przechyliła głowę, tak że gęste włosy przesłaniały jej twarz. Dlaczego właściwie nie odchodził? Patrzył na nią

dziwnie zamyślonym wzrokiem, w którym kryło się coś, czego zupełnie nie potrafiła zrozumieć.

Z nagłością, która ją zaskoczyła, podszedł do niej i wzięwszy ją pod brodę podniósł jej twarz ku światłu.

- Cały Marko! - wyszeptał.

Shelley poczuła, że drży. Jakże ten mężczyzna na nią działał! Jeden jego gest, jedno spojrzenie tych błyszczących oczu burzyło jej uporządkowany, spokojny świat. Podniecał ją, a przecież wcale go nie pragnęła...

Opuścił dłoń i uśmiechnął się ze zwodniczą łagodnością.

- Rozmawiałem z twoim ojcem. Wraca w piątek. Odczuła gwałtowny przypływ radości i w oczach

jej zajaśniały łzy.

- Tak długo czekałam... - powiedziała wzruszona. -Z własnej, nieprzymuszonej woli – zauważył złośliwie.

Serce zaczęło jej walić jak oszalałe. Dlaczego tak ją dręczył? Jakim prawem?

-Nie życzę sobie... - zająknęła się. - Nie masz prawa mnie oceniać! Poza tym to nie są twoje sprawy! I nie rozmawiaj na mój temat ze swoją kuzynką! - Trzęsła się cała ze złości, a jej głos przeszedł niemal w krzyk.

Chwycił ją za ramiona.

- A więc dręczą cię teraz piekielne męki, co? - drwił dalej. - A jak myślisz, co czuł przez te wszystkie lata twój ojciec? Nie mogłaś mu wysłać choćby jednego podziękowania? Jednej fotografii? Dlaczego miałbym ci wierzyć, że przyjechałaś tu całkiem bezinteresownie? Jestem

pewien, że Marko poinformował cię w swych listach, iż stał się człowiekiem bogatym...

Nie mogła tego słuchać. Musiała w jakiś sposób przerwać ten potok okrutnych, raniących słów. Zacisnęła swe drobne dłonie w pięści i z całej siły uderzyła go w klatkę piersiową.

- Nienawidzę cię! - krzyknęła z furją.

- Niewiele mnie to obchodzi. - Złapał ją za nadgarstki i odsunął od siebie.

- Idź już! - krzyczała dalej. - Idź i nie wracaj! Nie rozumiem, jak mój ojciec mógł się z tobą zaprzyjaźnić!

- Co ty właściwie wiesz o swoim ojcu? - Rzucił jej wzgardliwe spojrzenie. - Postawiłaś na nim krzyżyk, gdy miałaś siedem lat.

To było okropne i tak bardzo niesprawiedliwe. Shelley odwróciła się gwałtownie, weszła do domu i głośno zatrzasnęła za sobą drzwi.

Robotnicy pracowali do trzeciej. Shelley pomachała im z werandy, gdy odjeżdżali. Odrętwiała siedziała na bambusowym fotelu i patrzyła w przestrzeń. Zapach skoszonej trawy i kwiatów działał kojąco.

Kłótnią z Rafem Conwayem wyprowadziła ją z równowagi, a mówiąc szczerze - doprowadziła ją do furii. Czy kiedykolwiek przedtem kogoś uderzyła? Była przecież spokojną, zrównoważoną dziewczyną. Gdy jednak Raf Conway wkroczył w jej życie, coś niedobrego zaczęło się z nią dziać...

Och, dlaczego matka przez tyle lat ją oszukiwała? Dlaczego miała przed nią sekrety? Nigdy nie uda jej się przekonać Rafa Conwaya, że była tylko niewinną ofiarą... Oby tylko ojciec zrozumiał ją bez słów... Jemu też nie będzie mogła powiedzieć prawdy. Nie potrafi zdradzić matki...

Z nagłym drżeniem w sercu przypomniła sobie słowa Danielli na temat ojca. Czyżby chorował? Nie, to byłoby zbyt okrutne! Ojcu nie może się teraz nic złego przydarzyć! Musi koniecznie spytać Rafa Conwaya, gdy wróci... Ale on pewnie po nią nie wróci po tym, co mu powiedziała. Nie żałowała jednak ostrych słów. Zasłużył sobie na nie.

Pełna niespokojnych myśli przechadzała się po ogrodzie, który w ciepłych promieniach zachodzącego słońca wyglądał zachwycająco pięknie. Kolorowe motyle fruwały z kwiatka na kwiatek, a stada egzotycznych ptaków wzbijały się prosto w słońce. Dotarła do starej, żelaznej bramy. Bujne pnącza wokół niej zostały starannie przycięte i dopiero teraz zauważyła skrzynkę pocztową przyczepioną do ceglanego filaru. Wyglądała, jakby od dawna z niej nie korzystano.

Shelley uniosła wieko i zajrzała do środka. Zapelniała ją sterta zwiędłych liści. Włożyła rękę, by je wymieść i nagle poczuła ostre, prędkie ukłucie.

Do licha! Odkoczyła do tyłu, czując, że serce podchodzi jej do gardła. Przestrzegano ją, by w tym klimacie zachowywała się ze szczególną ostrożnością, a tymczasem postąpiła tak lekkomyślnie. Ukłucie nie było co prawda bolesne, wokół pojawiła się tylko nieznaczna opuchlizna, ale Shelley zaczęła z przerażeniem myśleć o możliwych konsekwencjach. Na szczęście nie była alergiczka, jednak nigdy nie wiadomo... Już miała zajrzeć do skrzynki, by zidentyfikować swego napastnika, gdy mały, czarny pająk, z czerwonymi plamami na odwłoku, wygramolił się na wierzch, a potem uciekł w dół po ceglanym filarze i zniknął w gęstwinie żywopłotu.

Czyżby osławiony karakurt? - pomyślała ze zgrozą. Czuła, że kręci jej się w głowie, i nie była pewna, czy to już pierwsze symptomy zatrucia, czy może rezultat przeżytego szoku. Co sił w nogach pobiegła do domu, by zrobić sobie zimny okład, po drodze modląc się w duchu, aby Raf Conway jak najszybciej wrócił.

Gdy Raf stanął w drzwiach, Shelley leżała w salonie na kanapie.

- Zażywasz upiększającej drzemki? - spytał ironicznie.

Z wysiłkiem usiadła.

- Och, czuję się okropnie... - Skórę miała zaczerwienioną i pokrytą potem. Okazało się, że nie może usiąść o własnych siłach.

- Wielki Boże! - Wyraz jego twarzy zmienił się nie do poznania. Szybko podbiegł i ukląkł przy kanapie. - Jak to się stało? - Zdjął bandaż, którym zawinęła sobie rękę i obejrzał opuchliznę. Puls miała bardzo przyspieszony. - Jak to się mogło stać? - powiedział z pobladłą twarzą.

- Stało się... - szepnęła. - Och, Raf, cieszę się, że wróciłeś...

- Jakże mógłbym nie wrócić! Poczekaj, leż spokojnie i nic nie mów. Przyniosę lód.

Patrzyła za nim przepelniona uczuciem ulgi, choć stan jej z każdą chwilą się pogarszał. Gardło miała opuchnięte, jakby godzinami płakała.

Raf wrócił w okamgnieniu i zrobił jej opatrunek z lodu.

- Zarzuć mi ręce na szyję - powiedział. - Ukąsił cię czerwony pająk, ale nie martw się, jest na to antytoksyna. Wszystko będzie dobrze, Shelley. Zaufaj mi.

- Ufam ci - wyszeptała, prawie nie mogąc wydobyć głosu.

ROZDZIAŁ TRZECI

-Budzimy się, budzimy... - Siostra Parrish pochyliła nad Shelley swą okrągłą, zarumienioną twarz.

- Pora na badania, kochanie.

Shelley otworzyła oczy i z trudnością uniosła głowę. Pielęgniarka włożyła jej w usta termometr i zagaiła rozmowę, do której pacjentka tylko w nieznacznym stopniu mogła się włączyć.

- Miała pani pecha, skarbie. Tu, w tropikach trzeba zachować szczególną ostrożność. Ale na szczęście doskonale zareagowała pani na antytoksynę. Myślę, że wypuścimy panią już za dwa dni.

- Za dwa dni? - wymamrotała Shelley. - Mój ojciec przyjeżdża w piątek!

- Och, proszę się nie uskarżać. Niektórzy ludzie ukąszeni przez karakurta spędzają u nas ponad tydzień. Ale pani, całe szczęście, jest taka młoda i zdrowa... Och, byłabym zapomniała! Niebawem zjawi się tu pan Conway. Bardzo się martwił. Czekał na wyniki badań przez całą noc. Wyjechał dopiero wtedy, gdy doktor Rigby zapewnił go, że wszystko będzie dobrze. Pan Conway jest wielkim dobroczyńcą naszego szpitala, podobnie jak niegdyś jego dziadek. Wszyscy go tu uwielbiamy. - Siostra Parrish wzięła do ręki kartę i poczyniła w niej jakieś notatki.

- A kim jest pani ojciec, skarbie? Czyżby sławny Mark Stuart?

- Tak. Zna go pani?

- Oczywiście, wszyscy go tu znamy. Jest bardzo sławny. Poza tym był tu parę razy...

- W szpitalu? - zaniepokoiła się Shelley. Siostra Parrish z roztargnieniem pochyliła się nad kartą.

- Och, przechodził zwykle, rutynowe badania, skarbie - powiedziała uspokajającym tonem. - Wszyscy je przechodzimy. - Siostra Parrish jakby straciła ochotę do dalszej konwersacji. Odwiesiła kartę, poprawiła Shelley poduszki i energicznie skierowała się do wyjścia. - Muszę już uciekać, kochanie. Po śniadaniu może pani wstać i wziąć prysznic.

Koło południa, gdy pogrążona w myślach leżała oparta o poduszki, w drzwiach pojawił się Raf Conway. Wyglądał zabójczo przystojnie w piaskowych spodniach i zielonkawej koszuli, która przydawała jego niesamowicie jasnym oczom szmaragdowego blasku. W ręku trzymał najpiękniejszy kosz kwiatów, jaki Shelley kiedykolwiek widziała.

- Jakie piękne! — westchnęła z niekłamany podziwem. - Czy to dla mnie?

- Oczywiście - odparł z uśmiechem, patrząc na nią tak intensywnie, że odczuła lekkie zakłopotanie. - Jak się masz, rekonwalescentko? Widzę, że jeszcze jesteś blada...

- Och, czuję się już znacznie lepiej - zaprotestowała żywo. - Muszę ci za wszystko podziękować, Raf.

- To zbyteczne - rzekł szorstko i odwrócił się w poszukiwaniu krzesła. - Ubolewam, że to ci się przydarzyło. Czuję się w jakiś sposób odpowiedzialny...

- Ależ to wyłącznie moja wina! - przerwała mu gwałtownie. - Powinnam zachowywać się rozsądniej. - I dodała kokieteryjnie: - Naprawdę martwiłeś się?

- Bardzo. - Rzucił jej szybkie spojrzenie i oczy mu zabłyśły. - Twój ojciec przylatuje w piątek - zmienił pośpiesznie temat. - Prawdopodobnie akurat cię stąd wypiszą.

- Och, muszę go przywitać na lotnisku. Pojedziesz ze mną, Raf?

- Widzę, że potrafisz być czarującym, słodkim stworzeniem, gdy zachodzi taka konieczność.

- Proszę cię, nie rozmawiajmy w ten sposób - powiedziała z naciskiem. - To mnie denerwuje. Jestem ci za wszystko głęboko wdzięczna, ale naprawdę nie chcę, byś mieszał się w moje życie.

Roześmiał się szeroko.

- Obawiam się, że to się już stało - powiedział.

Samolot z Sydney miał niebawem wylądować. Shelley siedziała obok Rafa Conwaya w poczekalni lotniska, usiłując zapanować nad emocjami. W sercu czuła zamęt, a nerwy miała rozedrgane jak struny. Ogarniało ją na przemian radosne podniecenie i strach... Czy ojciec się zmienił? Och, nie o wygląd chodziło - wszak minęło już szesnaście lat - ale czy nadal ją kocha?

- Spróbuj się uspokoić. - Raf Conway przelotnie dotknął jej ramienia.

- Wyglądasz jak balon, który za chwilę pęknie.

- Naprawdę wyglądam jak balon? - zaniepokoiła się, ale gdy spojrzała na uśmiechniętą twarz Rafa, oczy jej pojaśniały. Raf... Ileż mu zawdzięczała! Był teraz dla niej opoką - taki miły, przyjacielski, jakby zapomniał o dawnych urazach. Jak mu się za to odwdzięczy?

- Wyglądasz jak róża - poprawił się z afektacją. - Naprawdę porywająco!

- Może powinnam związać włosy? - zastanawiała się. - Martwię się, czy mnie pozna...

- Z pewnością cię pozna. - Raf Gonway popatrzył ponad głowę Shelley na tablicę przylotów. - Chodźmy! Samolot Marka już wylądował.

Odrzutowiec kołował na pasie i wkrótce spory tłum ludzi - przeważnie kolorowo ubranych turystów - zaczął wylewać się z budynku lotniska.

- Gdzie on jest? - gorączkowała się Shelley, potrząsając Rafa za ramię. Czowała pod powiekami łzy i z trudnością przełykała ślinę. Oczyma duszy widziała ojca takiego, jakiego pamiętała z czasów dzieciństwa.

Po chwili wysoki mężczyzna, którego blond włosy lśniły w słońcu jak srebrny hełm, pojawił się w drzwiach i Shelley, nie mogąc się opamiętać, kurczowo chwyciła Rafa Conwaya za ramię. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że zaczyna traktować go jak starego, dobrego przyjaciela. Stała jak skamieniała, z zapiętym tchem, nie będąc w stanie zrobić kroku. Odnosiła wrażenie, że nie widziała ojca zaledwie kilka dni, że był przy niej zawsze i wszędzie.

- Biegnij do niego - szepnął Raf. - Czekał na ciebie tak długo...

Shelley spojrzała nań zamglonymi oczami. -Nie masz pojęcia, co czuję... Jak bardzo go Kocham!

Odwróciła się i pobiegła do ojca, lekka jak ptak, z rozwianymi włosami i wyciągniętymi rękami.

Mężczyzna zatrzymał się, jakby niezdolny do zrobienia następnego kroku.

- Shelley! - Ten okrzyk chwycił za serce, wyrażał więcej niż tysiące słów.

- Tato! - Padła mu w ramiona z uczuciem niewysłowionej radości i najwyższego spełnienia.

Trwali w uścisku - bez słów, bez ruchu, rozkoszując się dotykiem własnych ciał, wsłuchani w odgłos swych równo bijących serc. Zdawało się, że ta jedna chwila szczęścia przekreśla ból długich straszliwych lat bez siebie.

Ojciec pierwszy uniósł głowę; jego niebieskie oczy lśniły od łez.

-Moja piękna, mała dziewczynko... Poznałbym cię wszędzie. Nic się nie zmieniłaś. - Uśmiechnął się z czułością, a uśmiech ten udzielił się Shelley. A więc ojciec w nią wierzył i ufał jej, tak jak ona zawsze ufała jemu!

- Cześć, Marko! - odezwał się Raf Conway.

- Witaj, Raf! - Głos Marka promieniał szczęściem.

- Tak się cieszę, Raf... Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

Serdeczne dzięki za wszystko, za opiekę nad moją Shelley...

- Cała przyjemność po mojej stronie - uśmiechnął się Raf. -

Przynajmniej miałem okazję sprawdzić, czy Shelley rzeczywiście jest tak piękna, jak zawsze opowiadałeś.

- A nie jest? - Mark Stuart promieniał ojcowską dumą.

-Jak anioł Botticellego... Sama słodycz i blask.

- Popatrzył na Shelley. Usta jego wykrzywiały dziwny grymas, a lśniące oczy zdawały się mówić: „Nie zawieź go!”

Przez następny tydzień Shelley i jej ojciec nie mogli się sobą nacieszyć. Godzinami rozmawiali albo też, patrząc na siebie, swobodnie milczeli, podczas gdy Molly i Boffin - dwa najłagodniejsze na świecie

labradory, leżały u ich stóp. Shelley śmiała się w duchu na wspomnienie groźnych dobermanów, którymi Raf Conway chytrze ją nastraszył.

Dwa popołudnia spędzili na żeglowaniu, większość jednak czasu wypełniała im wspólna praca przy sztalugach w zalanej słońcem, przestronnej pracowni Marka. Tu rozumieli się najlepiej, ich twórcze natury były bowiem pokrewne pod każdym względem.

Mark Stuart z zachwytem powitał talent córki i pełen zapału udzielał jej inspirujących wskazówek, aranżował wymyślne kompozycje martwych natur, by poszerzyć jej artystyczną wyobraźnię. Ona zaś miała wrażenie, że uczy się wszystkiego od nowa pod okiem najbardziej wrażliwego mistrza.

Często pracowali do późna, a potem, gawędząc wesoło, zasiadali do kolacji, przyrządzonej zazwyczaj przez Marka, który okazał się zadziwiająco dobrym, zapalonym kucharzem. Dziwiło tylko Shelley, że sam jadł niewiele, jakby wcale nie miał apetytu. Rozmawiali o wszystkim. O sztuce i książkach, ludziach i polityce, ale jednego tematu jej ojciec wyraźnie unikał, tematu swego zdrowia. Gdy raz otwarcie spytała go o to, zbył ją krótkim stwierdzeniem, że dawno temu złapał w południowo-wschodniej Azji jakiegoś, jak się wyraził, bakcyła, który teraz od czasu do czasu daje o sobie znać. Zapewniał jednak, że to nic poważnego. Shelley postanowiła wziąć na spytki Rafa, by dowiedzieć się czegoś więcej.

Kilka dni po powrocie Marka, Raf Conway zaprosił ich na kolację. Spędzili uroczy wieczór w towarzystwie Danielli, jej ciotki, Irene, przybyłej z Włoch, oraz zaprzyjaźnionego z Rafem małżeństwa. Daniella, która z wyraźną przyjemnością pełniła honory pani domu, była niezwykle

czarująca dla Marka i znacznie łaskawiej nastawiona do Shelley niż poprzednio. Miał miejsce jednak pewien niezręczny incydent. Ktoś nieopatrznie wspomniał o pobycie Shelley w szpitalu, o czym nie mówiła ojcu, by go niepotrzebnie nie martwić, i teraz zaskoczony Mark sprawiał wrażenie przerażonego nie na żarty. Wówczas Raf uratował sytuację.

- Ależ spójrz na nią, Marko — powiedział. - Czyż nie tryska zdrowiem? Twoja złotowłosa dziewczyna wygląda teraz piękniej niż kiedykolwiek.

Mark pojaśniał z dumy, ale Daniella nerwowo zacisnęła usta, wyraźnie zła z powodu komplementu, jakim kuzyn obdarzył Shelley. Raf przez cały wieczór był bezspornie duszą towarzystwa. W czarujący sposób potrafił bawić gości, sypiąc jak z rękawa zabawnymi anegdotami i pasjonującymi opowieściami. Shelley musiała przyznać, że był mężczyzną fascynującym- Musiała również przyznać, czy chciała tego, czy nie, że zupełnie zawojował jej ojca. Mark najwyraźniej darzył go uczuciem niemal ojcowskim. Shelley wprawilo to w zakłopotanie. Między nią a współnikiem jej ojca utrzymywało się bowiem nadal niezręczne napięcie. Gdy na nią patrzył, często uśmiechnięty dla niepoznaki, jego oczy były czujne i chytre jak u drapieżnego kota.

Ponownie zobaczyła Rafa Conwaya dopiero po kilku dniach. Siedziała wraz z ojcem na werandzie, popijając mrożoną kawę, gdy nieoczekiwanie zajechał pod dom swym srebrzystym terenowym samochodem.

- Wspaniale, żeś wpadł, Raf! - Uradowany Mark wyszedł mu na powitanie, a za nim pobiegły równie uszczęśliwione labradory.

Shelley stała na werandzie, obejmując dłońmi białą kolumnę, jakby szukała w niej oparcia. Ilekroć widziała Rafa Conwaya, serce zaczynało jej bić niespokojnie. Drażnił ją, celowo jej dokuczał, w pewnym sensie nawet napawał ją lękiem, niemniej jednak za każdym razem czuła na jego widok przyływ radosnego podniecenia. Nie potrafiła sobie tego racjonalnie wytłumaczyć. Powinna go przecież nie lubić za te wszystkie podłe insynuacje, powinna go unikać jak ognia, by nie narazić się na kolejne docinki, a tymczasem podświadomie pragnęła z nim starcia,

- Raf jedzie do miasta, kochanie - zawołał Mark.

- Może wybierzesz się z nim na przejażdżkę?

Po chwili Raf wszedł na schody i posłał jej taksujące spojrzenie, tak zuchwałe, że Shelley aż dech zaparło. Czuła, że powinna być takim spojrzeniem obrażona, i była na siebie zła, że wcale tak nie jest.

-I co o tym sądzisz, Shelley? - uśmiechnął się chytrze, a w jego głosie brzmiało wyzwanie.

- Poczekaj, tylko się przebiorę - odparła z mimowolnym uśmiechem i odwróciła się na pięcie, a wtedy jej długie włosy zatańczyły na wietrze jak złocista peleryna.

- Och, wyglądasz wspaniale w tym, w czym jesteś - zauważył Mark.

- Muszę się trochę przykryć - zażartowała, zerkając znacząco na krótkie, obcisłe szorty, które całkowicie odsłaniały opalone nogi. - Jestem skromną panienką, tato - dodała, przekornie spoglądając na Rafa Conwaya, jakby oczekiwała, że zaprzeczy. On jednak posłał jej tylko zagadkowe spojrzenie.

- Proszę cię, usiądź, Raf - odezwał się Mark.

- Wypijemy kawę, nim Shelley się przebierze.

Shelley pomknęła do sypialni. Szybko zamieniła szorty i podkoszulek na mocno wydekoltowaną sukienkę w kolorze fuksji, która co prawda sięgała jej do pół łydki, z boku jednak miała głębokie rozcięcie. Rozczesała włosy, pomalowała błyszczkiem usta i popatrzyła krytycznie w lustro. Czegoś brakowało... Sięgnęła po naszyjnik, który dostała od ojca w prezencie. Był to sznur niebiesko-zielonych kamieni przetykanych koralikami wykonanymi ze złota. Teraz, już całkowicie zadowolona z siebie, mogła zbiec na werandę. Po drodze chwyciła jeszcze duży słomkowy kapelusz, w którym prezentowała się nadzwyczaj korzystnie.

- Wyglądasz cudownie, kochanie - powiedział Mark w przyplwście ojcowskiej dumy.

W oczach Rafa Conwaya pojawił się dziwny blask. A może był to tylko blask światła? Cokolwiek by to było, Shelley zarumieniła się po uszy. Co za zuchwalec! - pomyślała.

Kilka minut później jechali do miasteczka Maren-te, które - jak dowiedziała się od ojca - zostało tak nazwane na cześć dziadka Rafa Conwaya, Pietra.

-Marko wygląda na szczęśliwego - odezwał się Raf tonem, w którym było coś z wyzwania.

- Bo jest szczęśliwy - rzekła Shelley z naciskiem.

- Och, skąd w tobie tyle nieufności? - dodała po chwili, patrząc na jego nieprzeniknioną twarz. - Czuję się przy tobie jak więzień zwolniony warunkowo. Jeden fałszywy krok i znów mnie zamkniesz.

- Na razie sprawujesz się nieźle - powiedział, uśmiechając się ironicznie. - Podoba mi się twój naszyjnik.

Shelley dotknęła kolorowych kamieni, zaintrygowana nagłą zmianą tematu.

- Przyciąga wzrok, prawda?

- Musi. - To zabrzmiało jak smgnięcie batem.

- O co ci znów chodzi? - rzuciła z furją.

- To artystyczna robota, pewnej znanej projektantki z Hongkongu...

Zapomniałem jej nazwiska. Spytaj Danny, ona będzie wiedziała.

- Bądź tak uprzejmy i nie mieszaj w to Danny

- odparowała. - Nie życzę sobie, byś rozmawiał z nią na mój temat!

- O czym ty mówisz? - spytał z nie ukrywanym zdziwieniem.

- Nie zaprzeczysz chyba, że podzieliłeś się z nią swymi wątpliwościami na mój temat? Sama mi o tym powiedziała.

- Musiałś ją źle zrozumieć. Nigdy nie rozmawiałem z Daniellą o tobie, ale jeśli nieświadomie cię dotknęła, porozmawiam z nią o tym.

Shelley gwałtownie potrząsnęła głową.

- Nie życzę sobie, żebyś w ogóle o mnie rozmawiał. A swoją drogą, dlaczego tak zainteresował cię mój naszyjnik?

- Nie udawaj niewiniątka. Kobieta twego pokroju z pewnością wie, że to kosztowny drobiazg. Dużo osiemnastokaratowego złota i drogich kamieni.

-I co z tego? - warknęła. - Dostałam go od ojca. -Domyślam się. I nie wątpię, że wyciągniesz więcej.

Shelley poczuła, że krew uderza jej do głowy.

- Wiedziałałam... wiedziałam - zaczęła się jąkać ze zdenerwowania - że nie powinnam z tobą nigdzie pojechać. Jesteś do mnie źle nastawiony, uprzedzony...

- Przeciwnie, ślicznotko. - W jego oczach pojawiła się drwina. - W pewnym sensie nawet cię lubię. Uważam, że należysz do tych fascynujących kobiet, które rażno zmierzają do celu. Ale jako przyjaciel i wspólnik twego ojca muszę ci patrzeć na ręce. I ostrzegam, że mam zamiar postawić ci na drodze kilka przeszkód.

-Przekraczasz nie tylko granice przyjaźni, ale wszelkiej przyzwoitości - powiedziała Shelley znużonym tonem.

- Wycofam się, gdy uznam za stosowne. Przykro mi, złotowłosa, ale w najbliższej przyszłości nie pozbędziesz się mnie. Całe lata, podczas których ty nawet nie raczyłaś się odezwać, stałem u boku twego ojca i pilnowałem jego interesów.

- A więc twoim zdaniem jestem pozbawioną uczuć, interesowną córką, czy tak?

Popatrzył na nią z pewnym rozbawieniem.

- Niezupełnie - rzekł pobłażliwie. - Uważam, że jesteś koniunkturalistką, Shelley.

Umilkła jak spłoszony ptak i nie odezwała się już do końca podróży.

W miasteczku rozeszli się, każde w swoją stronę. Shelley miała nadzieję, że robienie zakupów odpręży ją nieco, ale tak się wcale nie działo. Oskarżenia Rafa rozbrzmiewały echem w jej głowie. Jakże fałszywie ją oceniał! A ona... ona przecież w głębi duszy pragnęła, by miał o niej jak najlepsze zdanie. I nigdy nie będzie mogła powiedzieć mu prawdy! Wiedziała teraz, że ojciec przez lata przysyłał jej prezenty... Ale kto jej uwierzy, że nigdy ich nie otrzymała? Shelley westchnęła smutno. To wszystko było zbyt okrutne...

Wychodząc ze sklepu, postanowiła nagle, że nie wróci do domu w towarzystwie Rafa Conwaya. Nie wytrzymałaby kolejnej serii drwin, pouczeń i upokorzeń. Postanowiła włożyć mu za wycieraczkę kartkę, że jedzie autobusem. I tak uczyniła.

W autobusie było tłoczno, gwarno i niemiłosiernie gorąco. Shelley z trudnością przecisnęła się na tylne siedzenie, gdzie dojrzała wolne miejsce. Siedząca tam kobieta od razu zagaiła rozmowę, pytając Shelley, kim jest i dlaczego tu przyjechała.

- Och, córka Marka Stuarta? - mówiła. - Wszyscy go tu znamy. To przyjaciel pana Conwaya...

Sam dźwięk nazwiska Rafa sprawił, że Shelley zadrżała. Z pewnością niełatwo pogodzi się z jej ucieczką... Może nawet ruszył w pogoń...

Ledwie o tym pomyślała, gdy usłyszała z tyłu donośne trąbienie. Obejrzała się. Samochód Rafa wyprzedzał właśnie autobus.

-To pan Conway! - zawołała radośnie jedna z kobiet. - Zatrzymaj się, Beppo! On z pewnością czegoś chce...

Kierowca zjechał na pobocze, a w autobusie zawrzało jak w ulu. Wszyscy byli ciekawi rozwoju wypadków. Kilka chwil później Raf Conway pojawił się w drzwiach, pozdrawiając wesoło kierowcę i pozostałych pasażerów.

Shelley nie miała wyboru, musiała wstać i przejść przez autobus, uśmiechając się z zażenowaniem. Co za przedstawienie!

-Pozwól, że cię wyręczę. - Raf podszedł i wziął od niej paczkę. Popatrzył na nią z politowaniem, a potem zwrócił się do pasażerów: -

Wybaczcie państwo, ale panna Stuart nie przywykła jeszcze do naszych upałów.

Kobiety były najwyraźniej zachwycone jego dżentelmenerią, bo kiwały aprobuszując głowami, spoglądając na Shelley z zaciekawieniem i swego rodzaju zazdrością. Raf uklonił się wszystkim i pomógł dziewczynie wysiąść.

- To nie było zbyt mądre posunięcie - zauważył, gdy autobus odjechał. - Zachowałeś się jak dziecko. Na przyszłość odradzam...

- To moja sprawa - burknęła Shelley, wciskając na głowę kapelusz. Była okropnie zgrzana; po policzkach ciekły jej strużki potu.

- Proponuję ci rozejm na czas lunchu - powiedział z figlarnym uśmiechem.

- Rozejm? - Zdmuchnęła kosmyk włosów, który przykleił się do kącika jej ust. - Ty nigdy nie przestaniesz robić mi wymówek.

Spojrzał na nią z lekkim niepokojem i dotknął ręką jej rozgrzanego policzka.

- Dobrze się czujesz? - spytał niemal czułym tonem.

- W twoim towarzystwie nigdy nie czuję się dobrze. - Odepchnęła jego rękę, czując, że drży pod jej dotykiem.

- Widzę, że nie jest z tobą tak źle - zaśmiał się cicho. - Chodźmy do samochodu. Klimatyzacja dobrze ci zrobi.

W samochodzie Shelley odłożyła kapelusz na tylne siedzenie. Ciało jej płonęło, krew zdawała się rozsadzać żyły.

- Jesteś głodna? - spytał.

- Nie — rzekła z miną więźnia, który wraca do celi. Spojrzał na nią i zaśmiał się głośno.

- Sama jesteś sobie winna, złotowłosa. Widzę, że napady wściekłości to twoja specjalność. Mimo wszystko zjemy lunch. Marko nie spodziewa się nas szybko.

- Mam nadzieję, że nie zabawia się w swata - powiedziała zgryźliwie.

-Daj spokój! - wybuchnął szczerym śmiechem. - Przecież ledwo możemy na siebie patrzeć, czyż nie?

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Shelley uwielbiała robić zakupy na małych straganach, które okoliczni farmerzy ustawiali wzdłuż drogi. Wszystko tu było świeże i pachnące - jarzyny i niezliczone gatunki tropikalnych owoców, pęki ziół, naręcza kwiatów, różnorodne marynaty, dzemy i miód. Leżąca w pobliżu farma państwa Augustinów była popularnym miejscem wytchnienia dla strudzonych klientów. Oferowano tu napoje orzeźwiające, dobrą kawę z ekspresu, kanapki i domowe ciasteczka.

Pewnego popołudnia, gdy Shelley odpoczywała tam po zrobieniu zakupów, podszedł do niej młody mężczyzna o jasnej, spłowiałej od słońca czuprynie.

- Zapewne córka Marka Stuarda? - zagaił, odsłaniając w uśmiechu równe, białe zęby. - Znam Marka od lat. Czy mogę się przysiąc? Nazywam się Jeff Gant.

Miał miłą powierzchowność i ciepły, ujmujący głos, więc Shelley bez wahania zaprosiła go do stolika. Pani Augustin podeszła natychmiast i zwracając się do niego po imieniu, spytała, czym może służyć. Zamówił czarną kawę i migdałowe ciasteczka, a Shelley, by dotrzymać mu towarzystwa, poprosiła o cappuccino.

- Jak ci się u nas podoba? - spytał, gdy pani Augustin przyjęła zamówienie, i nie czekając na odpowiedź mówił dalej: - Prawda, że jest tu przepięknie? Wokół same cuda natury z Wielką Rafą Koralową u stóp. - Zerknął na jej zakupy. - Widzę, że zaopatrujesz się na farmie?

- Nie potrafię się powstrzymać, by nie spróbować tych wszystkich delicji - powiedziała z uśmiechem.

- Będzie mi ich brakować, gdy stąd wyjadę.

- Przyjechałaś tu tylko na wakacje?

- Tak. W odwiedziny do ojca. Bardzo długo się nie widzieliśmy...

- Mark nigdy nie mówił, że ma tak piękną córkę - oświadczył ze szczerym podziwem. - Z tymi złotymi włosami wyglądasz jak księżniczka z bajki. A Mark już wrócił? Słyszałem, że gościłaś u Rafała przez kilka dni...

- Widzę, że plotki szybko się tu rozchodzą - skwitowała, zdziwiona nieco jego dociekliwością.

- No wiesz, Rafał to nasz miejscowy krezus - westchnął. - Wszyscy o nim mówią. Nie wątpię, że na tobie również wywarł wrażenie. Ludzie chylą przed nim czoło ze względu na jego majątek.

- Nie lubisz go? - spytała zaczepnie, dopatrując się w jego tonie zazdrości.

Jeff uśmiechnął się krzywo, a w jego piwnych oczach pojawiły się złośliwe błyski.

- Znamy się z Rafem od dzieciństwa - wyjaśnił.

- Oczywiście, nie miałem takich jak on możliwości, takiego startu...

Zapewne wiesz, że jego dziadek, Pietro, był jednym z najbogatszych ludzi na Północy. Był z niego wielki pan; nosił jedwabne garnitury z czarnym fontaziem i wyglądał jak lew z tą swoją niezwykłą grzywą białych włosów... Rafał odziedziczył po nim potężny majątek. No cóż, trzeba przyznać, że sam szybko go podwoił. Ma niebываły zmysł do interesów. Wszystko, czego się dotknie, przemienia w złoto, tak jak Midas. - Jeff urwał na chwilę, by zaczerpnąć tchu, po czym kontynuował w zamyśleniu,

jakby mówił sam do siebie: - Tak, ten facet ma wszystko: urodę, majątek, sławę... Gdy się na niego patrzy, popada się w kompleksy. I do tego potrafi być diablo arogancki... - westchnął. - Trzeba jednak przyznać, że pracuje bardzo ciężko, tak ciężko, że już od samego patrzenia na niego człowiek czuje się zmęczony. - Znow westchnął, a potem spytał weselszym tonem: - A jak ci się podoba pałac prezydencki?

-Masz na myśli White Cliffs? - upewniła się Shelley. - Rzeczywiście imponujący... - Urwała, bo właśnie córka pani Augustin, Lucienne, nadeszła z tacą.

Jeff wdał się z nią w krótką, z lekką kokieterijną pogawędkę.

- Wspaniałe dziecko! - skomentował, gdy Lucienne się oddaliła. - Jest dla matki wielką pomocą... Ale wracając do Rafa - podjął swój ulubiony wątek - koniecznie pojedź na Angel. Jestem przekonany, że Raf zaproponuje ci tę wycieczkę. - Spojrzał na Shelley badawczo, jakby się chciał upewnić, że temat nie jest jej obcy, i niezmiernie prawił dalej: - Urzekające miejsce, urzekające... A gdy Raf tam wszystko urządzi, to będzie istny raj.

- A czym ty się zajmujesz, Jeff? - wtrąciła szybko Shelley.

Jeff upił trochę kawy i odstawił filiżankę.

- Budownictwem, tak jak Raf. Och, mamy tu nieograniczone możliwości dla twórczej wyobraźni. Pokażę ci, jeśli zechcesz, fantastyczne miejsca. Mam dom niedaleko Orchid Beach. Prawdziwy tropikalny dom na palach. Sam go zaprojektowałem i zbudowałem. Jego zdjęcie zamieszczono nawet w „Vogue Living”.

- Och, chętnie go zobaczę - powiedziała bez wielkiego entuzjazmu, bo była już trochę zmęczona gadulstwem swego rozmówcy. - Jesteś żonaty, Jeff? - spytała po chwili, zmieniając temat.

- Nie. - Jeff wyraźnie się stropił, - Byłem raz zaręczony, ale nic z tego nie wyszło. Z kuzynką Rafa, Carłą. - Uśmiechnął się ponuro. - Chyba nie pasowałem do tej rodziny. Carla jest bardzo piękna, poznasz ją niebawem, bo, jak słyszałem, Raf wydaje przyjęcie, by zaprezentować cię towarzystwu.

W oczach Shelley malowało się zdumienie. Skąd, u licha, Jeff miał tak dokładne informacje?

- Nie dziw się - wyjaśnił po chwili, jakby czytając w jej myślach. - Wszystkie posunięcia Rafa są tu w okolicy szeroko komentowane. A jak ci się podoba Daniella?

- Po prostu olśniewająca. Pełna życia i entuzjazmu.

- To prawda! Wiesz, że ona namierza się wydać za Rafa? Okazuje się, że wcale nie są tak blisko spokrewnieni. Prawdę mówiąc nie są nawet kuzynami w drugiej linii. Kiedyś Danny podkreślała ich kuzynostwo, ale teraz już nie. Postawiła sobie za cel poprowadzić Rafa do ołtarza i myślę, że jej się to uda. Ciągle tu teraz przyjeżdża razem ze swą ciotką, Irene. On zresztą też często odwiedza Włochy. Wiesz, jego matka była Włoszką, ojciec zaś Anglikiem. Był bardzo zdolnym inżynierem budowlanym. Pamiętam ich doskonale... Ona - piękna jak Madonna, a i on też miał klasę... Raf przypomina jedno i drugie.

-To musiał być cios dla Rafa, gdy zginęli... - powiedziała Shelley.

- Tak, trzeba przyznać, że nie zawsze miał szczęście. - Jeff zerknął na zegarek i pospiesznie wypił kawę. - No, muszę już lecieć. Miło mi było cię

poznać, Shelley. - Wstał, a jego złote włosy zaśniły w słońcu. - Pozdrów ode mnie Marka. Wpadnę kiedyś, zgoda?

- Oczywiście, Jeff - przytaknęła Shelley.

Gdy wróciła do domu, ojciec i Raf studiowali właśnie plany zabudowy nabrzeża.

- Przed chwilą poznałam twojego przyjaciela - powiedziała Shelley do Rafa, gdy ten podszedł, by wziąć od niej kosz z zakupami.

- Czyżbym dojrzał, w twych oczach błysk? - zażartował.

- Nazywa się Jeff Gant - powiedziała wchodząc do kuchni.

- No tak, zapomniałem, że nasz poczciwy Jeff nigdy nie traci okazji, by się zaprezentować - rzekł Raf kwaśno.

- Pewnie poznałaś go u Augustinów? - wtrącił Mark. - On, jak mi wiadomo, uwielbia bary szybkiej obsługi.

- O co chodzi z tym Jeffem Gantem? - zdumiała się Shelley. - Czyżby nie był waszym przyjacielem?

- Jeff jest właściwie w porządku... - odezwał się Raf-ale...

- Ale - dodał Mark z namysłem - problem polega na tym, że chce być kimś innym, niż jest. Zapewne zdążył ci się już pochwalić swoim pięknym domem na Orchid Beach?

- Owszem. Podobno sam go zaprojektował, a jego zdjęcia znalazły się w „Vogue Living”.

- Mam tu gdzieś ten numer, pokażę ci. - Mark był lekko ubawiony. - Musisz jednak wiedzieć, że to był projekt Rafa i dom wybudowało jego przedsiębiorstwo. Jeff jednak wszem i wobec, bez cienia wstydu, przyznaje się do autorstwa. Taki już jest.

-Ale przecież powiedział mi... - Shelley była zdumiona.

- Jeff to mitoman, kochanie. Lubi naginać rzeczywistość do swoich marzeń. Niemal wszystkie tutejsze projekty architektoniczne są autorstwa Rafa, skarbie.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że jesteś architektem? - Shelley patrzyła, na Rafa oczami szeroko otwartymi ze zdziwienia.

- Jestem człowiekiem niezwykle skromnym - odparł z uśmiechem.

Doprawdy nie powinnam być zaskoczona, myślała gorączkowo, przypatrując się jego smagłej, wyrazistej twarzy, teraz zagadkowo uśmiechniętej. Co ja właściwie o nim wiem? Tyle tylko, że jest tak szalenie pociągający...

- Chodź tu i spójrz, kochanie - zawołał Mark. - Raf jest po prostu genialny...

Shelley poruszyła się jak w transie. Genialny? Tak, to było właściwe określenie. Podeszła do stołu, a Raf stanął tuż obok niej.

- To projekt parcelacji starej farmy Tannera - wyjaśnił. - Kawał pięknego terenu tuż nad morzem. Część powierzchni planuję zbudować domkami, a resztę przeznaczę na parki i ogrody. Zabiorę cię tam, jak tylko zacznę budowę...

Patrzyła na niego jak urzeczona, na linię jego potężnych ramion, na kształtne, długie palce o wypielegnowanych paznokciach... Ręce stworzone do pieśczoły, pomyślała.

- Będzie mi bardzo miło - odrzekła machinalnie.

- Niczego bardziej nie pragnę, niż żeby ci było miło - odparł lekko drwiącym tonem, a w jego oczach pojawiły się znajome błyski. - W przyszłym tygodniu wybieram się na Angel. Pojedziesz ze mną?

- Z przyjemnością. - Spojrzała mu w oczy. Były skupione i chłodne... i tak przepastne, że można było w nich utonąć...

Czego ty ode mnie chcesz, Rafie Conwayu? - myślała, gdy Mark odprowadzał gościa do samochodu.

- Raf bardzo powściągliwie wyrażał się o Jeffie Gancie - podjęła urwany wątek, gdy jej ojciec wrócił.

- Widzisz, kochanie, Raf w przeszłości dużo dla Jeffa zrobił i nie doczekał się wdzięczności. Przeciwnie, Jeffa zżera zazdrość. Chciałby być taki jak Raf, ale niestety nie posiada jego talentu. Usiłuje z nim rywalizować, pcha go ku temu jakiś zupełnie niezrozumiały przymus, i za każdym razem przegrywa.

- To musi go bardzo rozstrajać...

- Tak, i dlatego czasem myślę, że byłoby dla niego lepiej, gdyby gdzieś wyjechał. Tu żyje stale w cieniu Rafa... Paradoksalne, ale to dziadek Rafa opłacił mu studia, podobnie jak kilku innym dzieciom z okolicy. Pietro to był wspaniały człowiek, prawdziwy filantrop. Widzisz, Jeff pochodzi z rozbitej rodziny, nigdy nie zaznał rodzinnego ciepła...

- To wiele tłumaczy - wtrąciła Shelley współczującym tonem. - W gruncie rzeczy to chyba sympatyczny chłopak. Zapomniałam ci powiedzieć, że ma zamiar nas odwiedzić.

- W porządku - powiedział łagodnie Mark. - Jeff jest towarzyski i bezpośredni, trzeba tylko uważać, gdy wchodzi się z nim w interesy.

- A co o nim myśli Raf? - zaciekawiała się.

- Ma do Jeffa, powiedziałbym, filozoficzny stosunek. Wie o jego zazdrości i chyba nad tym boleje. Niewiele tu można zrobić. Jeff powiedział ci zapewne, że był zaręczony z kuzynką Rafa. Nie wierz, by

Raf miał cokolwiek wspólnego z zerwaniem tych zaręczyn. Jeff sam odpowiada za wszystkie swoje klęski i szalone czyny.

- Ciekawa jestem, skąd wiedział o tym, że Raf planuje wydać przyjęcie - kontynuowała swoje rozważania zaintrygowana Shelley.

- Właśnie! Byłbym zapomniiał o przyjęciu. - Mark poweselał na twarzy. - Uważam, że powinnaś kupić sobie jakąś fantastyczną kreację na tę okazję. Kobiety mają tu zwyczaj stroić się na takie przyjęcia. Wiesz, wydaje mi się, że suknia, którą w zeszłym tygodniu nosiła Daniella, na tobie prezentowałyby się wyśmienicie. - Popatrzył na córkę, a oczy jego pojaśniały z dumy.

- Och, tato - westchnęła Shelley - Daniella miała na sobie suknię od samego Valentina. Ciotka Irene nie omieszkła mnie o tym poinformować. Wiesz, ile taka suknia kosztuje?

- Pewnie sporą sumkę - roześmiał się. - Córeczko, nie jestem jeszcze bankrutem i nalegam, abyś kupiła sobie coś oszałamiającego. Chcę, żebyś wyglądała przepięknie. Szkoda, że nie przywiozłaś swoich pereł.

Powiedział to tak gładko i zwyczajnie, że zaskoczona Shelley dała się przyłapać.

- Jakich pereł? - spytała bez zastanowienia i było już za późno, by ugryźć się w język.

- A więc to tak - westchnął ciężko. - Nigdy ich nie dostałaś, prawda? Och, dlaczego mi tego nie powiedziałaś?

- Tato... — zająknęła się i spojrzała na ojca błagalnym wzrokiem.

- Tak, tak, wiem. Chronisz matkę... Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. |Nie chciałem burzyć szczęścia tych dni. To najpiękniejsze dni w moim życiu. Domyślałam się, że listów też nie otrzymywałaś, ani prezentów.

Shelley podbiegła do ojca i chwyciła go za rękę.

- Tato, nie gniewaj się - wyjąkała przez łzy, obejmując go czule ramieniem. - To już minęło. Wszystkie błędy należą do przeszłości.

-Kochałem twoją matkę, Shelley - rzekł cicho. - Próbowałem... Staralem się bardzo, uwierz mi, ale byłem młody, nie chciałem pozwolić, by mnie stale kontrolowano, wtlaczano w sztywne ramy, pouczano... Nie chciałem być niczyją własnością... Nasze małżeństwo było więzieniem... więzieniem dla nas obojga. Może brakowało mi życiowej mądrości, doświadczenia... nie wiem czego jeszcze, ale nie potrafiłem zapanować nad zaborczością Sariny. Była taka młoda i taka piękna... Powinna cieszyć się życiem, chwytać je pełnymi garściami, a ona tymczasem zamknęła się w domu, w kręgu najbliższej rodziny. Nic jej nie interesowało, nie chciała mieć przyjaciół. Tylko ty, ja i ona... - Westchnął z drżeniem w sercu, jakby przeżywał to wszystko na nowo.

-Tato, uspokój się - błagała Shelley. - To już minęło. Życie dało nam wszystkim powtórna szansę.

-Masz rację - przyznał z wdzięcznością. - Naprawdę cieszę się bardzo, że Sarina odnalazła spokój i ułożyła sobie życie. Skrzywdziliśmy się nawzajem, ale to już minęło. - Pogłaskał Shelley po włosach, pocałował w policzek i powiedział z nagłym ożywieniem: - A teraz, co powiesz, córeczko, na godzinkę malowania? Nie masz pojęcia, jakim jesteś dla mnie natchnieniem. Dawno nie miałem takiej weny. Czy nie byłoby cudownie mieć wspólny wernisaż?

- Och, tato, przecież ja ci nie dorównuję - odparła Shelley z prawdziwą skromnością, ale oczy jej pojaśniały.

- Nonsens! - Mark otoczył ją ramieniem, jakby chciał dodać jej wiary we własne siły. - Naprawdę masz talent i wydaje mi się, że nasze malarstwo ma wiele wspólnego: podobną siłę ekspresji, dobór barw, ale nade wszystko łączy nas podobna wyobraźnia. Wiesz, przez wiele lat malowałem wyłącznie dla przyjemności i dopiero Raf postarał się, by moje prace wystawiono „Świat powinien poznać geniusza” — powiedział mi. Był dla mnie zawsze wspaniałym przyjacielem. Mam nadzieję, że będzie nim również dla ciebie, kochanie.

Te słowa podniosły Shelley na duchu.

Pod koniec tygodnia, w piątek po południu Mark oświadczył, że jedzie do miasta.

- Na pewno nie chcesz, żebym ci towarzyszyła? - spytała Shelley chyba już po raz trzeci, odprowadzając ojca do samochodu.

- Nie, kochanie, jest straszny upał. Poza tym zapowiadają burzę.

- No to po co właściwie jedziesz? - zdumiała się.

- Mam pilne sprawy do załatwienia - odrzekł spokojnym tonem. -

Nie zamartwiaj się, skarbie. My tu przywykliśmy do burz, a poza tym na pewno zdążę wrócić, nim rozpęta się nawałnica.

Shelley pomachała mu na pożegnanie i wróciła do domu.

Zachowanie ojca było niepokojące. Intuicyjnie czuła, że coś jest nie tak, bo przecież zwykle prosił ją, by mu towarzyszyła. Tym razem jednak wyraźnie chciał być sam. Czyżby jechał do lekarza? Dziwne, ale stan jego zdrowia był nadal tematem tabu. Czy to było jednak coś poważnego? Poczowała zimny ból w sercu, jak gdyby ścięła je lodowa powłoka. Teraz, gdy niemal cudem odzyskała ojca, nie wyobrażała sobie jego straty. W przyływie naglej paniki przypominała sobie pewnego znajomego, który

zmarł z powodu złośliwej tropikalnej gorączki, jakiej nabawił się na Malajach. A może ojciec cierpi na jakąś złośliwą amebę?-pomyślała z drżeniem w sercu. Może dlatego tak bardzo schudł? Musi, koniecznie musi porozmawiać o tym z Rafem...

Aby rozproszyć złe myśli, postanowiła upiec coś na poczekaniu. Co prawda ojciec nie był szczególnym amatorem słodczy, lubił jednak zjeść do herbaty słodkie ciasteczko. A więc upiecze mu herbatniki orzechowe i kawowe, a może jeszcze sernik...

Godzinę później, gdy ochoczo krzątała się po kuchni, głośne szczekanie psów wywołało ją na werandę. Niespodziewanym gościem okazał się Jeff Gant.

- Cześć, Shelley! - zawołał wesoło. - Przejeżdżałem tędy i pomyślałem sobie, że wpadnę. - Nim zrobił krok, nieufnie spojrzał na Boffina, który najwyraźniej nie pałał do niego sympatią. - No, spokój, piesku. - Jeff niepewnie wyciągnął rękę, by go pogłaskać, ale pospiesznie ją cofnął pod groźnym spojrzeniem labradora.

- Boffin, do nogi! - Shelley przywołała psa do porządku i z uśmiechem zwróciła się do gościa: - Ojca nie ma w domu. Powinien niedługo wrócić. Co cię tu sprowadza, Jeff?

Jeff ostrożnym krokiem wszedł po schodach na werandę.

- Jadę obejrzeć działkę, która mnie interesuje - wyjaśnił. - Niedaleko Cash Crossing.

- Usiądź, proszę. Przyniosę coś zimnego do picia.

- Shelley wskazała mu krzesło.

- O niczym innym nie marzę! Och, Shelley, a co tu tak wspaniale pachnie? - Z lubością pociągnął nosem.

- Pieczesz coś?

- Raczej przypalam. Poczekaj chwilę, zaraz wrócę. Jeff jednak, nie proszony, wszedł za nią do domu.

- Ciasteczka, moja miłość! - ucieszył się na widok talerza pełnego rumianych herbatników. - Miałem szczęście, że wpadłem!

Wziął tacę z ciasteczkami i dwoma szklankami lemoniady z lodem i wyniósł ją na werandę. Boffin powitał go groźnym warknięciem.

-Spokój, Boffin - odezwała się Shelley i psy potulnie przywarły do jej stóp.

- Wyraźnie mi nie ufają - roześmiał się Jeff.

- Wiesz, te ciasteczka są naprawdę wyśmienite...

- Mogę dać ci przepis - zaofiarowała się Shelley.

- Och, muszę ci wyznać, że nie potrafię nawet ugotować jajka. - Jeff wyciągnął wygodnie swe smukłe, prężne ciało w fotelu. W żółtej koszulce polo, którą miał dziś na sobie, wyglądał bardzo atrakcyjnie. Jego piwne oczy rozjaśniał uśmiech, a słońce przydawało blasku włosom koloru dojrzałego zboża. - Może pojedziesz ze mną do Cash Crossing? - zaproponował po chwili. - Tam jest naprawdę pięknie. Moglibyśmy popływać...

Propozycja brzmiała kusząco, Shelley jednak w gruncie rzeczy była zadowolona, że ma wiarygodną wymówkę.

- Przykro mi, Jeff - odparła - ale muszę poczekać na ojca.

- On z pewnością prędko nie wróci - wtrącił Jeff.

- Skąd wiesz? - spytała nieufnie, zastanawiając się w duszy, czy to możliwe, by Jeff spotkał jej ojca w mieście i tylko dlatego tu przyjechał.

- Załatwianie spraw zabiera zwykle dużo czasu.

- Wyraz jego oczu był całkowicie niewinny. - Chyba nie przyjechałaś tu po to, by stale siedzieć w domu? Ta okolica jest rajem dla turystów, a skoro Mark nie czuje się dobrze...

- Co masz na myśli, Jeff? - Wyraz jej twarzy nagle zmienił się nie do poznania.

- Och, powinienem ugryźć się w język - powiedział z zakłopotaniem i spuścił wzrok. - Ale nie martw się, Shelley. Wiesz pewnie, że Mark złapał jakąś tropikalną chorobę dawno temu w Malezji i od czasu do czasu ma jej nawroty. Na pewno ci o tym powiedział... Ale naprawdę nie powinnaś się martwić...

Shelley raptownie się podniosła i stanęła nieruchomo przy balustradzie, patrząc martwym wzrokiem na kwitnący ogród.

- Mimo wszystko niepokoję się, Jeff - powiedziała cicho.

Jeff podszedł do niej i współczującym gestem położył jej dłoń na ramieniu.

- O Boże, a to narozrabiałem... - bąknął. - Mam teraz wyrzuty sumienia. - Chciał obrócić jej twarz ku sobie, gdy niespodziewanie na zwirowanym podjeździe pojawił się srebrny wóz Rafa Conwaya. - Do licha! - Jeff pokręcił głową z niedowierzaniem i pospiesznie opuścił rękę. - Mógłbym przysiąc, że Raf mnie śledzi.

Psy zbiegły ze schodów, jak zwykle na widok Rafa radośnie machając ogonami. Powitał je z uśmiechem, ale gdy chwilę później wchodził na werandę, twarz miał ponurą, a jego oczy ciskały błyskawice.

- Wiedziałem, że cię tu zastanę, Jeff - powiedział bez ogródek. - Byłem właśnie w biurze Teda Massinghama. Mark wspomniał mi, że cię spotkał.

Opalone policzki Jeffa zalał rumieniec.

- Jechałem właśnie do Crossing i... pomyślałem... - jąkał się niewyraźnie - pomyślałem, że odwiedzę Shelley. Poczęstowała mnie znakomitymi ciasteczkami.

- To miło z jej strony. - Zimne oczy Rafa Conwaya spoczęły na Shelley.

- Jest naprawdę wyśmienitą gospodynią... - podjął Jeff ze sztucznym ożywieniem, ale spojrzawszy w twarz Rafa, zamilkł jak ptak, który widzi jastrzębia.

- No cóż - rzekł, wymownie zerkając na niebo - chyba będzie padać. Powinienem się zbierać. Do zobaczenia, Shelley! - Posłał jej uśmiech nieśmiałego chłopca.

- Pamiętaj, że podtrzymuję zaproszenie. Cześć, Raf, stary przyjacielu... - zawahał się i dodał z powątpiewaniem: - Ale ty chyba nie traktujesz mnie jak przyjaciela, prawda?

- Będę traktować cię jak przyjaciela, gdy przestaniesz sprawiać kłopoty - rzekł Raf stanowczo.

- I możesz to przekazać Harrisowi. Już ci mówiłem, że on nie nadaje się na wspólnika.

Jeff poruszył się niespokojnie.

- On wcale nie jest moim wspólnikiem - obruszył się.

- Mam nadzieję!

- No już dobrze, dobrze - rzekł Jeff pojednawczo.

- Mam nadzieję, że zaprosisz mnie na swoje przyjęcie, Raf? - Spojrzał na Shelley, jakby szukał u niej poparcia.

-Wiesz chyba, że Carla tam będzie... - zauważył Raf z wahaniem.

-Na Boga, przysięgam, że zachowam się przyzwoicie! - Jeff dla podkreślenia szczerości swych słów przyłożył dłoń do serca, a potem pożegnał zakłopotanym spojrzeniem Shelley i Rafa i zbiegł do samochodu. Ruszył z takim impetem, że przestraszona dziewczyna zawołała:

- Na Boga, co on wyprawia!

- Jeff miewa czasami wybuchy wściekłości - rzekł Raf ostro. - Poza tym jest brawurowym kierowcą. Jeśli ci życie miłe, odradzam przejażdżki z nim.

- Popatrzył na nią przenikliwie. - Jak długo tu był?

- Dlaczego jesteś taki zły? - spytała Shelley, odwracając się przed jego napastliwym wzrokiem i wchodząc do domu.

- Nie spodobał mi się widok jego ręki na twoim ramieniu - wycedził, podążając za nią do środka.

-Co to cię właściwie obchodzi? - rzuciła. - Jeff zachował się jak prawdziwy dżentelmen.

- Chcesz powiedzieć, że go prowokowałaś? - Głos miał podniesiony, wibrujący złością. - Spójrz tylko na siebie. Jak ty wyglądasz?!

Shelley instynktownie zerknęła na swe małe, sterczące piersi pod bawełnianą koszulką, na lniane szorty odsłaniające smukłe uda.

- Uważasz, że powinnam chodzić w habicie? - rzuciła zaczepnie.

W oczach Rafa pojawił się dziwny błysk.

- Wyglądasz zbyt prowokująco... - powiedział.

-I to cię drażni? - Potrząsnęła głową tak mocno, że włosy rozsypały się jej na ramiona. - To ciebie powinnam się obawiać, Rafie Conwayu! - oskarżyła go gwałtownie.

- Masz świętą rację. - Podszedł do niej i wziął w ramiona tak pewnie i mocno, że aż ją to zabolalo. W jego twarzy kryła się skupiona siła, która ją przerażała i przed którą chciała się cofnąć, ale nie potrafiła zrobić kroku. Zamiast tego powiedziała głosem drżącym z emocji:

-Ty... ty Rafie Conwayu? Taki bohater jak ty, filar społeczeństwa, obrońca uciśnionych...?

- Zamilcz! - Twarz mu pobladła pod opalenizną, a w jego głosie brzmiała ledwie powstrzymana pasja.

-Ty brutalu! Puść mnie! - Ostatkiem sił chciała uwolnić się z jego uścisku, ogłuszona i przerażona zdradziecką falą namiętności, która ją ogarnęła, która pchała ją ku niemu z niespotykaną siłą.

Pochylił się ku niej i pocałował tak dziko i zachłannie, że ze świadomości jej znikło wszystko. Pod dotknięciem jego ust całe jej ciało drgnęło niespokojnie. Nikt nigdy jej tak nie całował, nigdy nie poczuła takiej obezwładniającej bezradności i słabości, która kazała jej się tulić do niego i tęsknić za chwilą, gdy usta jego znów spoczną na jej wargach. To było wprost szokujące... poniżające, jak bardzo pragnęła tego mężczyzny. Mężczyzny, którego przecież nie kochała... Miłość to przecież uczucie romantyczne, namiętność zaś, którą czuła, była tak pochłaniająca i prymitywna jak strach, była czymś pierwotnym, niemal zwierzęcym...

Raf odchylił jej ciało do tyłu; jego gorące wargi wędrowały teraz po jej szyi i piersiach. Co on z nią robił? Czuła, że zemdleje, jeśli nie przestanie.

- Masz dość? - Usłyszała jego ostry, chrapliwy głos i podniosła na niego oczy płonące szaleństwem i tęsknotą.

- Nie chciałam tego - wyszeptała.

- A więc na drugi raz nie igraj z ogniem. Nie należę do tych miłych chłopców, których możesz wodzić za nos. - Odsunął ją od siebie jakby z wysiłkiem i patrzył teraz na nią ze spokojem, który ją przerażał.

-I co my z tym zrobimy? - wyjąkała bezradnie. Myślałam, że mnie nie lubisz...

-Bo to prawda - zaśmiał się cicho. - Lubię wyłącznie twoje piękne ciało, moja śliczna.

Gdy na niego spojrzała, w jej oczach malował się ból, upokorzenie i zniecierpliwienie.

- Potępiłeś mnie, jeszcze zanim mnie poznałeś... - zaczęła z pasją, ale dalsze jej słowa zagłuszył potężny grzmot. Drgnęła niespokojnie i przestraszonym wzrokiem spojrzała za okno, w tym samym momencie gdy strzępiasta błyskawica rozdarła niebo i rozświetliła ogród swym upiornym blaskiem.

- Opanuj się, to tylko burza - powiedział Raf łagodnie i wzięwszy ją za rękę, wyprowadził na werandę.

Niebo przedstawiało widok niezwykły - piękny i przerażający zarazem. Przesuwały się po nim skłębione, srebrnoczarne masy chmur, gdzieniegdzie przetykane pasmami żywej zieleni i fioletu; wiatr gnał je w głąb łądu. Nad farmami i polami rozpościerała się cienka, pierzasta opończa, której posępną szarość rozświetlały złote sztylety gasnącego słońca. Powietrze było duszne i ciężkie jak woń kadzideł, a cisza wokół złowieszcza.

W obawie przed następną błyskawicą i grzmotem przerażona Shelley przysunęła się bliżej do Rafa. Na tle ciemniejącego nieba ostry jego profil wydawał się okrutny, wyrafinowany, a w jego zmrużonych oczach

dojrzała zachwyty nad szalejącym żywiołem i pogardę dla niebezpieczeństwa.

- Spójrz, co za sceneria! - powiedział podekscytowany. - Nic nie przewyższa natury w jej czystym pięknie... Czemu drżysz? Nie bój się... - Otoczył ją silnymi ramionami i przyciągnął jej plecy do siebie, krzyżując ręce poniżej jej drobnych piersi.

Przez nieskończenie długą chwilę stali nieruchomo, stopieni razem, a Shelley czuła, że drży coraz gwałtowniej, i nie wiedziała już sama, czy to z powodu strachu, czy też narastającego w niej seksualnego napięcia. Czuła zapach jego skóry - świeży i czysty jak woń cytrusów - i pragnęła poczuć jej smak na swoich ustach; czuła gorący oddech parzący jej szyję i tęskniła za dotknięciem jego warg. Jakie inne kobiety tak obejmował? - zastanawiała się gorączkowo. Jakie inne kobiety tak bardzo go pragnęły?

A potem spadł deszcz i powietrze nagle stało się rześkie i klarowne jak wino. Shelley wdychała je głębokimi haustami, jakby chciała ugasić trawiące ją pragnienie. Koszulkę i szorty miała mokre, a delikatne sutki uwydatniały się teraz wyraźnie pod cienką bawełną.

- Może powinniśmy schować się do środka? - spytała wreszcie głosem drżącym z podniecenia,

W odpowiedzi Raf przycisnął ją mocno do siebie - przeraźliwie mocno, niemal okrutnie i nagle poczuła pożądliwe dłonie na swoich piersiach, a jego wargi zaczęły delikatnie przesuwac się po jej szyi.

- Pocałuj mnie - powiedział, przechylając jej głowę.

Musnęła jego usta subtelnie i trwożliwie, a wtedy on odwrócił ją nagle ku sobie i zaczął całować tak chciwie i gorączkowo, jakby nie był w stanie nacieszyć się pocałunkami. Ogarnął ją strach przed jego siłą i

własną bezradną słabością. W wieku dwudziestu trzech lat była nadal dziewicą i teraz przerażeniem napawała ją myśl, że za chwilę odda się mężczyźnie, którego wcale nie kocha... Walczyła z chaosem myśli, ale nie mogła nic zrobić, nie mogła powstrzymać fali rozkoszy i szaleństwa, która ją ogarniała.

Kiedy ją nagle puścił, poczuła dotkliwe rozczarowanie. Pochyliła się ku niemu namiętnie, on jednak zdecydowanym gestem odsunął ją od siebie i patrzył na nią oczami rozdartymi walką i bólem.

- Shelley, przestań! - powiedział dobitnie.

- Nie, Raf... proszę... - Czyż ona to mówiła? Głos miała niski, drżący i tęskny.

- Przestań! - powtórzył z naciskiem. - Jeśli nie przestaniesz, wezmę cię teraz, tutaj.

- Tak, chcę tego! - odpowiedziała mu niemal histerycznie, gorącym, radosnym śmiechem. - Widzisz... widzisz, jak na mnie działasz...

- Wiem, i ja też cię pragnę, Shelley - wyrzucił z siebie jednym tchem.

- Ilekroć cię widzę, jesteś dla mnie jak wieczna pokusa, jak wyzwanie...

- I nie podoba ci się to, bo mnie nie lubisz, tak? Chcesz odejść? Tak, chcesz odejść. Burza już minęła, więc dlaczego nie odchodzisz? - Mówiła gorączkowo, coraz szybciej, ponieważ narastał w niej gniew. - Idź! No idź już! Nie jesteśmy przyjaciółmi.

- Masz rację - przyznał bez wahania - ale dręczy mnie myśl, że możemy mimo to skończyć w łóżku. Nie potrafię zostawić cię w spokoju, Shelley.

Niecierpliwie odsunął się od niej o krok. Włosy miał mokre, wilgotne ubranie kleiło mu się do ciała. Patrzył jej prosto w twarz,

przeszywał błyszczącymi oczyma. Wyglądał pięknie i władczo - jak pogański bóg.

-To było tylko szaleństwo... szaleństwo letniej nocy - powiedziała wreszcie zdławionym głosem. - Możesz już iść. - Odwróciła się i weszła do domu.

Gdy kilka minut później wyjrzała na werandę, Rafa już tam nie było, niebo zaś znowu jaśniało oślepiającym błękitem.

Co się ze mną stało? - pomyślała Shelley.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kiedy pół godziny później przyjechał ojciec, Shelley wybiegła mu na powitanie spragniona jego czulej, kojącej obecności.

- Nie miałeś problemów z burzą? - spytała.

- Nie, kochanie, przeczekałem ją w mieście. - Zachowanie Marka było tak pełne animuszu i dziecięcej beztroski, że Shelley poczuła się uspokojona na duchu. - A jak ty dałaś sobie radę?

- Doskonale - odparła, nie dając po sobie poznać zmieszania. - Och, tato, co to? Jesteś Świętym Mikołajem? - spytała zaskoczona, gdy Mark zaczął wyjmować z samochodu jedna po drugiej kolorowe torby i paczki.

- Odkąd tu jesteś, gwiazdkę mamy każdego dnia - odrzekł pogodnie.

- Wpadł tutaj Raf?

- Owszem. A prosiłeś go o to?

- Raf i tak by to zrobił, wiedząc, że jesteś sama. Ma instynkt opiekuńczy.

- Był tu również Jeff Gant - dodała.

- Jeff? - spytał podejrzliwie. - A czego on chciał? Przecież doskonale wiedział, że mnie tu nie zastanie. Spotkaliśmy się w mieście.

- Och, wpadł tak sobie. Zresztą nie zabawił długo. Mam wrażenie, że Raf go wypłoszył.

Mark roześmiał się ze zrozumieniem i rzekł:

- Chodźmy, pokażę ci, co kupiłem.

Kiedy weszli do domu obładowani pakunkami, Shelley przycupnęła na brzegu fotela, a ojciec z triumfalną miną zaczął wyciągać z

przepastnych toreb i pudeł najrozmaitsze suknie - dzienne i wieczorowe, spódnice i bluzki, krótkie i długie spodnie - wszystko w cudownych, żywych kolorach. Były tam również kostiumy kąpielowe i plażowe kimona, pantofle i sandały w przeróżnych fasonach oraz liczne dodatki: korale, chustki i paski - wszystko, o czym dusza zamarzy.

- To z butiku Shari - wyjaśnił Mark, podając jej piękny srebrny pasek wysadzany turkusami. - Przymierz, powinien objąć twą smukłą talię.

- Och, tato, psujesz mnie - zawołała zdumiona Shelley. - To przepiękne rzeczy, ale, na Boga, czy zostało jeszcze coś w sklepie? - Wzięła do ręki białą suknię w tropikalne liście. - Jaka piękna! - powiedziała i nagle uśmiech zamarł na jej twarzy. - Tato, nie mogę pozwolić, żebyś wydawał na mnie tyle pieniędzy...

- Daj spokój, kochanie - przerwał jej. - Cóż warte są pieniądze? Nie da się za nie kupić zdrowia ani szczęścia... Chcę sprawić ci przyjemność, a jednocześnie sobie, bo widząc cię w tych strojach będę ogromnie szczęśliwy.

Shelley podbiegła do ojca, objęła go i uściskała.

-Tato, jesteś dla mnie za dobry... Dziękuję ci. A więc oddawałeś się szalowi zakupów - dodała tonem zastanowienia - a ja podejrzewałam, że pojechałeś do lekarza...

- Tym razem nie, kochanie - odrzekł spokojnie.

- Od czasu do czasu poddaję się badaniom kontrolnym, jak każdy w moim wieku... Wiesz, czasami dokuczają mi mdłości i bóle głowy. To z powodu tego paskudztwa, którego nabawiłem się na Malajach, ale nie martw się, to naprawdę nic groźnego.

-I nie można pozbyć się go całkowicie? - spytała z troską.

- Okazuje się, że nie. Doktor Rigby uważa jednak, że mój stan jest dobry. Och, nie mówmy już o tym, kochanie. Chciałbym, żebyś zamówiła sobie u Shari suknię odpowiednią na przyjęcie u Rafa. Powinnaś pojechać do niej jak najszybciej i uzgodnić fason.

- Tato, rozpieszczasz mnie - powiedziała wzruszona Shelley.

- A czy to nie jest cudowne, że mogę cię rozpieszczać? - Mark popatrzył na córkę oczami pełnymi miłości. - W każdym razie - dodał - nie ty jedna będziesz wyglądać olśniewająco. Zamówiłem sobie smoking. Pierwszy w życiu. Biały, taki sam jak Rafa. Jestem pewien, że Raf nie będzie miał nic przeciw temu.

- Bardzo go lubisz, prawda? - spytała Shelley.

- Tak - przyznał szczerze. - Takiego mężczyznę pragnąłbym widzieć u twego boku, kochanie.

Gdy nadszedł wreszcie dzień wycieczki na wyspę Angel, Shelley ubrała się bardzo starannie w białą bluzkę i luźne niebieskie szorty, które dostała od ojca, spakowała torbę z kostiumem kąpielowym i plażowym kimonem i niespokojnie oczekiwała na przyjazd Rafa. Nie potrafiła ukryć radosnego podniecenia, które opanowywało ją na myśl, że za chwilę go ujrzy. Poprzedniego wieczoru, pod wpływem wewnętrznego impulsu, naszkicowała jego głowę. Szkic wyszedł świetnie, przynajmniej Mark był takiego zdania.

Raf pojawił się o wpół do dziesiątej. Wyglądał uderzająco przystojnie w czarnym bawełnianym pulowerze, białych szortach i tenisówkach. Jak zwykle na jego widok poczuła przyspieszone bicie serca. Uśmiechnął się do niej chytrze jak kot i obrzucił ją szybkim, taksującym spojrzeniem, pod wpływem którego poczuła, że się rumieni. Ojciec

oczywiście pokazał mu rysunek, który Shelley dzień wcześniej naszkicowała.

- Spójrz, jaki. dziewczyna ma talent! - powiedział z wyraźną satysfakcją.

- Rzeczywiście, to bardzo dobre, Shelley. - Raf popatrzył z uznaniem na jej dzieło. - Chciałbym zobaczyć obrazy, nad którymi pracujesz.

- Nie rozczarujesz się, chłopcze - wtrącił pospiesznie Mark. - Ona jest naprawdę świetna.

- Nie pojedziesz z nami, tato? - spytała Shelley, zażenowana komplementami.

Mark potrząsnął głową.

- Chcę dziś trochę popracować. Bawcie się dobrze.

- Pomachał im na pożegnanie.

- Mam wrażenie, że ojciec usiłuje nas skojarzyć - powiedziała Shelley, gdy siedzieli już w samochodzie.

- Nie przejmuj się, ojcowie tacy już są. - Zerknął na nią badawczo. - Wyglądasz ślicznie. Ostrzegam, że bardzo kusząco...

- Daj spokój, Raf... A co powiedziała Daniella na naszą wycieczkę? Była zła?

-Trochę - uśmiechnął się krzywo. - Dlaczego pytasz?

-No wiesz, ludzie o was plotkują... Cała Północ czeka na wasze zaręczyny...

- Niech sobie czeka - powiedział krótko. - Na razie jestem wolnym strzelcem, Shelley.

Na Angel polecili helikopterem. Shelley była zachwycona panoramą oglądaną z lotu ptaka. Mijali gęsty las tropikalny, namorzynowe

wybrzeże, a potem było już tylko morze - bezkresna, szmaragdowa toń usiana wyspami, wysepkami i labiryntami koralowych atoli z broniącymi do nich dostępu wianuszkami koralowych raf. Gdzieniegdzie morze przybierało odcień turkusowego, a wokół wysp jasnej akwamaryny. Zachwycona Shelley pomyślała, że niewiele zakątków na ziemi może rywalizować z oszalamiającym pięknem tego miejsca.

Wylądowali na plaży, po zachodniej stronie wyspy, gdzie znajdował się ekskluzywny, prywatny ośrodek turystyczny. Gdy uniosła głowę, zobaczyła dwa strome szczyty, znajdujące się dokładnie po środku wyspy i dzielące ją na dwie części. Wyglądały rzeczywiście jak skrzydła opiekuńczego anioła, który wziął ten raj w posiadanie. Zatoka wraz z laguną i rozległą rafą tworzyły ogromne półkole, zwieńczone po obu stronach czarnymi skałami. Piasek był śnieżnobiały, a lśniąca, kryształowa woda mieniła się całą gamą barw - od jadeitu do kobaltu. Wzdłuż plaży rosły kępy strzelistych palm, a wokół nich pandany o długich liściach zebranych w pęki na końcu gałęzi i delikatne jak, mgiełka kazuaryny, których cienkie, różgowate pędy tworzyły długie odnogi. Na piasku, tu i ówdzie, złote jaskry wychylały głowy ku słońcu. To miejsce tak nieodparcie piękne i kuszące przywodziło na myśl biblijny Eden.

Gdy Shelley jak urzeczona szła obok Rafa w poprzek plaży ku ciemnej zasłonie z palm, nieoczekiwanie wyszedł im naprzeciw wysoki, mocno zbudowany mężczyzna o płowej czuprynie.

- Witaj, Raf! - Uniósł dłoń na powitanie.

- Terry Rogan, nadzorca budowlany - wyjaśnił Raf. - Wspaniały człowiek i doskonały pracownik.

Gdy mężczyzna zbliżył się do nich, Raf dokonał prezentacji, a potem wdał się z nim w dłuższą rozmowę na temat postępu prac budowlanych[^] Shelley została nieco z tyłu. Po chwili, gdy weszli na ścieżkę wijącą się wśród gęstych zarośli, nieoczekiwanie ukazał się jej oczom mały domek turystyczny. Widok był tak niespodziewany, że aż przystanęła zadziwiona. Wiedziała, że Raf wybudował tu dwadzieścia domków, ale z plaży, choć wyteżęła wzrok, żadnego nie mogła spostrzec. Istotnie, zostały wprost genialnie wkomponowane w otoczenie i stanowiły jakby jego naturalny element.

Raf przerwał rozmowę z Roganem i odwrócił się do niej.

- Niespodzianka, prawda? - powiedział z entuzjazmem. - Tego właśnie chciałem. Metalowa konstrukcja obłożona drewnem tekowym. Odporna na cyklony, które, niestety, docierają tu do nas znad Morza Koralowego. Wejdz i rozejrzyj się.

Wyposażenie okrągłego budynekczku było bardzo funkcjonalne i estetyczne.

- Nie przewidujesz tu rodzin z dziećmi? - spytała, widząc tylko jedną sypialnię.

- To miejsce wyłącznie dla kochanków - odrzekł z przekornym błyskiem w oku. - Rodziny i większe grupy mogą znakomicie wypoczywać gdzie indziej. Chciałbym, by ci nieliczni, którzy nas odwiedzają, mogli odpoczywać w absolutnym spokoju, napawając się pięknem nieskażonej natury...

- Bez telewizji i telefonu?

-Tylko szum morza i księżyc, taki piękny wieczorami...

-Jakie to romantyczne... - Shelley zapatrzyła się w przestrzeń rozmarzonym wzrokiem.

- Raf pewnie sam się nie pochwali - wtrącił Terry Rogan - ale za ten projekt zdobył nagrodę. Zieloni go kochają.

Raf wzruszył ramionami.

-Budowanie w raju nakłada na architekta wielką odpowiedzialność. Cywilizacja na ogół niszczy niepowtarzalny urok takich miejsc. Chodźmy, pokażę ci inne pawilony i centralny plac na wyspie.

Gdy z powrotem znaleźli się na ścieżce, zwrócił się do swego współpracownika:

- Widziałeś jeszcze tę motorówkę, Terry?

- Nie. Pilnujemy się dobrze. Stan z kilku innymi patroluje w nocy rejon. Wydaje mi się, że to mogli być po prostu turyści. Widzisz, Raf, ludzie są ciekawi, co tutaj budujesz.

Zamienili jeszcze kilka słów, a potem Terry Rogan pożegnał się i oddalił.

Gdy tylko zostali sami, Shelley poczuła gwałtowny przypływ zmysłowego niepokoju, tak charakterystycznego dla ich krótkiej znajomości. Narastające podniecenie, które było wprost nie do opanowania, przejmowało ją lękiem. Raf widać wyczytał w jej oczach przerażenie, bo przystanął nagle na ścieżce. Shelley cofnęła się trwożliwie.

- Shelley, ja nie gryzę - powiedział drwiąco. - Nie jesteśmy na bezludnej wyspie i, choć wyglądasz niezwykle kusząco, nie zamierzam cię atakować.

- Och, daj spokój... - rzuciła niedbale.

- Chodźmy, pokażę ci główne zabudowania. Tam pracują ludzie, więc poczujesz się bezpieczniej.

Centralny pawilon otoczony był stawem, na którego lśniącej, szmaragdowej powierzchni pływały kwitnące nenufary. Shelley weszła na mały mostek, by podziwiać ich urodę. Widziała już dziko rosnące niebieskie lotosy, ale te kremowe, białe i złote lilie wodne wprost ją urzekły.

- Sztucznie wyhodowane - wyjaśnił Raf. - Wspaniałe, prawda?

-Och, Raf, jestem pod wrażeniem. Dokonałeś tu cudów.

-Włożyłem w to mnóstwo pieniędzy. Marko tu również zainwestował.

- Naprawdę? - ożywiła się. - Ile? - Dlaczego nic mi o tym nie wspomniał?

Bezlitosne spojrzenie Rafa niemal przygwoździło ją do ziemi.

- Niech powie ci to sam, przecież jesteś jego spadkobierczynią - rzekł pogardliwie. - Mam nadzieję, że to ci nie przewróci w tej złotej główce.

I w jednej chwili rozmigotany słońcem poranek jakby stracił barwy. Przyjemna atmosfera uleciała bezpowrotnie.

- Zadałam tylko zwykłe pytanie - powiedziała z wyrzutem, patrząc mu prosto w twarz. - Zawsze źle interpretujesz moje słowa.

- Może masz rację - zdobył się na pojednawczy ton i szybko zmienił temat: - Może popływamy? Pora odpływu już minęła, więc nie pospacerujemy wśród koralów, ale mam nadzieję, że nadrobimy to innym razem. Umiesz nurkować?

- Nie.

- A więc nauczę cię. Nurkuje od dziecka. Tu są fantastyczne warunki do nurkowania.

- Chcesz powiedzieć, że dorastałeś ujeżdżając rekiny? - Nie mogła się powstrzymać od lekkiej złośliwości.

W jednym z domków Shelley przebrała się w jednoczęściowy kostium kąpielowy, włosy zwinęła w węzeł i narzuciwszy plażowe kimono, pobiegła w kierunku morza.

Raf czekał na nią na plaży. Otrzeptał ręce z piasku i podniósł się, demonstrując swe pięknie zbudowane ciało. Stała przed nim jak urzeczona. Miał gładką oliwkową skórę, a na jego muskularnej klatce piersiowej wiły się gęste, ciemne włosy. Musiała prędko spuścić oczy w obawie, by nie dostrzegł malującego się w nich zachwyty i pożądania. Zmieszana, rzuciła kimono i pobiegła do wody.

Woda była zimna i jakże cudownie chłodziła jej rozpalone ciało. Promienie słońca zdawały się przenikać aż do dna laguny, gdzie roiło się od małych, różnokolorowych rybek. Cóż to był za widok! Rozkoszując się chwilą, płynęła w poprzek zatoki, a Raf tuż obok niej. Po półgodzinie zaproponował wyścig do brzegu.

- To było cudowne! wysapała Shelley, rozpuszczając mokre włosy i wycierając się ręcznikiem.

- Powinnaś się nasmarować kremem - poradził jej Raf.

- Chyba nie wyobrażasz sobie, że to ty będziesz mnie smarował?

Roześmiał się głośno, a oczy mu zabłyśły.

- Boisz się, że ogarną mnie cielesne żądze?

- Żebyś wiedział! - Rozłożyła ręcznik w cieniu pod palmą.

- Już sam widok twego pięknego ciała wystarczy - odrzekł z nieoczekiwaną powagą i położył się obok niej.

Leżeli w milczeniu; Raf - wyciągnięty swobodnie, jedną ręką przesłaniał oczy, ona zaś, - nieruchoma i spięta, jakby porażona jego bliskością. Po kilku pełnych napięcia minutach Shelley również się odprężyła i przymknęła powieki. Lekki wiatr pieścił jej skórę, ciepły piasek, który chrzęścił pod palcami stóp, był miękki, kojący... Szum morza kołysał ją do snu...

Poczuła czyjeś ciepłe wargi na swoich. Pocałunek... Jęknęła z rozkoszy. Jakież był słodki, tkliwy i czuły... Czy to było już na jawie, czy jeszcze we śnie - nie wiedziała. Podniosła powieki. Pochylona nad nią ciemna głowa Rafa rysowała się na tle zielonych palm i niebieskich prześwitów nieba..

- Czy wiesz, jaka jesteś piękna? - powiedział, zdejmując z jej czoła kosmyk włosów.

-Nie rób tego, Raf... - Dziki, słodki dreszcz przeszył jej ciało.

- Powietrze działa tu jak afrodyzjak - wyszeptał, nie spuszczając z niej oczu. - Czujesz to?

- Obawiam się, że odurzy mnie na zawsze. -Mnie też...

Uśmiechnął się neodgadnionym, przelotnym uśmiechem, który sprawił, że jakby bezwiednie uniosła ramiona i objęła go za szyję. Zobaczyła w jego oczach zdumienie, a gdzieś głębiej nienasycony głód. Z okrzykiem radości przyciągnął ją do siebie i zamknął jej usta pocałunkiem tak gwałtownym i namiętym, że straciła oddech, nic nie słyszała i nic już nie widziała. Raf porwał ją w ramiona i przeturlał po piasku. Miała wrażenie, że rozszalała fala porywa ją i niesie w nie znanym kierunku,

jeszcze chwila i pograży ją w odmętach oceanu. Raf niecierpliwie zdejmował wargami ramiączka jej kostiumu, a potem zatopił twarz w jej piersiach. Czują twarde mięśnie jego ud przy swoim ciele, a zapach jego skóry wypełniał jej nozdrza. Jakby szukając deski ratunku, wbiła mu palce w plecy i wydała z siebie cichy jęk rozpacz. Uniósł gwałtownie głowę; jego twarz wyrażała udrękę.

-To jest piekło - wymamrotał. - Za każdym razem, gdy cię widzę, pragnę cię coraz bardziej i toczę ze sobą ustawiczny bój. - Usiadł i drżącą ręką przeczesał swe wilgotne włosy. - No cóż, skoro nie możemy zapomnieć się w miłości, pozostały nam jeszcze rozkosze stołu... Chodź! - Wyciągnął dłoń i pomógł jej wstać.

Raf przywiózł ze sobą kosz smakowitych wiktuałów. Posilili się, a potem poszli na spacer wzdłuż plaży aż po krawędź widniejących w oddali skał.

Później skręcili na ścieżkę wiodącą na nawietrzną stronę wyspy. Tę część wyspy porastał gęsty tropikalny las, którego granica pokrywała się niemal z granicą przypływu.

W pewnej chwili Shelley zatrzymała się i chwyciła Rafa za ramię.

- Spójrz, motyle! - zawołała, wskazując na kępę różnobarwnych kwiatów. - Jakie piękne!

- Na Angel nie ma motyli - zaprotestował żywo. - Ależ są! - Patrzyła na jego napiętą twarz ze zdziwieniem, a potem przeniosła wzrok na kępę różowych kwiatów lantany, wokół której fruwały trzy przepiękne, wielkie motyle. Jeden z nich, o kilkunastocentymetrowej rozpiętości skrzydeł, wzbił się ku słońcu. Miał skrzydła w kolorze tęczy i beżowy odwłok pokryty białymi kropkami. - Cudowny! - szepnęła zachwycona Shelley.

Raf stał jak skamieniały, z zastygłym wyrazem oczu.

- Na Angel nie ma motyli - powtórzył z dziwnym uporem. - To nie jest ich naturalne środowisko.

Shelley wybuchnęła śmiechem, zupełnie nie pojmując jego słów.

- Może przedtem ich nie zauważyłeś?

- Obszedłem całą wyspę i dokładnie ją obejrzałem

- rzekł z błyskiem w oku. - Byłem nawet na szczytach wzgórz.

Marko również. Nigdzie nie było motyli... ani gniazd żółwi... żadnej fauny podlegającej ochronie. Jeśli na tej wyspie są unikatowe motyle, ktoś musiał je tu sprowadzić, i to całkiem niedawno... Trzeba będzie wezwać entomologa, by je zidentyfikował, ale... założę się o wszystko, że to rzadkie gatunki.

- Masz na myśli, że nie powinno ich tu być? - spytała, w dalszym ciągu nie pojmując, o co chodzi.

- Widzisz, Shelley - wyjaśnił - nie wolno niszczyć naturalnego środowiska rzadkich gatunków flory i fauny. Te sprawy regulują przepisy prawne. Na tych wspaniałych wyspach ptaki, żółwie, roślinność są pod ścisłą ochroną. Mam wrażenie, że ktoś chce mi przysporzyć kłopotów. Wstrzymanie prac byłoby bardzo kosztowne. O tych motylach trzeba będzie powiadomić odpowiednie władze... Ktoś wykorzystał prawdopodobnie krzewy lantany. One rosną zwykle na obrzeżach dżungli i wabią tysiące motyli. Przez dwadzieścia lat mieszkał tu samotnie pewien tubylec. To on musiał sprowadzić na wyspę lantanę, a zapewne ktoś inny wykorzystał jej obecność...

- Aby przysporzyć ci kłopotów? - wtrąciła.

- Na to wygląda. Jestem znany z tego, że działam zgodnie z prawem i bardzo leży mi na sercu ochrona środowiska. Obecność motyli na tej wyspie zdyskredytuje moją działalność. Ktoś to wszystko dobrze obmyślił...

- Domyślasz się, kto to mógł być?

- Być może. - Gorzki uśmiech pojawił się na jego twarzy.

- Jeff Ga... - Shelley urwała, świadoma, że nie ma prawa nikogo oskarżać.

- Nie, nie podejrzewam Jeffa - podjął Raf poważnym tonem. - On jest zdolny do rozmaitych psikusów, ale nie sądzę, by poważił się na coś takiego. Myślę, że w głębi duszy jest moim przyjacielem.

Wątpię, pomyślała Shelley.

Mark sprawiał wrażenie mocno zaniepokojonego.

- Czy Terry Rogan nie mówił ci, że wokół wyspy kręciła się podejrzana motorówka? - spytał, gdy Raf opowiedział mu całą historię.

- Terry jest zupełnie pewien, że nikt nie wylądował. - Raf odchylił się na bambusowym krześle. – Podjęto odpowiednie środki bezpieczeństwa, ale z tego, co wiem, nikt nie patrolował nawietrznej strony wyspy.

-To mógł być Harris - powiedział Mark w zamyśleniu.

-Tak, Harris pierwszy przychodzi mi do głowy. Uprzedziłem Jeffa, że to nieuczciwy człowiek.

- Sądzisz, że Jeff nie jest w to zamieszany? Czasem, gdy najdzie go zły humor, potrafi zachowywać się nieodpowiedzialnie.

Raf wstał i zaczął niespokojnie przechadzać się po werandzie.

- Jeff w swoim czasie zrobił kilka głupstw - rzekł po chwili - ale nie podejrzewam, by posunął się tak daleko. Harris to co innego... Drobnym kombinatorem, który dorobił się szybko pewnej sumki, a teraz marzy mu się prawdziwy majątek. Mówiłem Jeffowi, by trzymał się od niego z dala.

- Może uprzedziłeś go zbyt późno - rzekł Mark po namyśle. - Harris mógł postawić Jeffowi kilka drinków i namówić go niby w żartach na ten pomysł. Jeff łatwo ulega wpływom...

- Porozmawiam z Jeffem - zdecydował Raf.

- Najpierw powinieneś powiadomić departament ochrony środowiska - wtrąciła się Shelley. - Lepiej, żebyś zrobił to sam, zanim uprzedzi cię jakaś „życzliwa” osoba.

Raf obrzucił ją baczny spojrzeniem.

- Widzę, że nie ufasz Jeffowi... A myślałem, że go lubisz.

- Przecież go nawet nie znam - odparła. - Wiem tylko, że zazdrość to jeden z siedmiu grzechów głównych.

Przy obiedzie Mark i Shelley dalej drażyli temat. Shelley narysowała ojcu możliwie dokładny wizerunek motyla, którego widziała na wyspie. Mark przyglądał mu się ze zmarszczonym czołem, a potem powiedział: -

- Nie znam takich motyli, a przecież widziałem tu ich całe roje. To z pewnością nie jest błękitny ulisses, choć rozpiętość skrzydeł ma podobną... Przypuszczam, że to bardzo rzadki gatunek i z pewnością sprawa nabierze rozgłosu. Mieszka tu w okolicy, chyba ostatnio gdzieś w dżungli na Przylądku, pewien Niemiec - autorytet w dziedzinie entomologii. Trzeba będzie poprosić go o ekspertyzę. W każdym razie, kochanie, jestem pewien, że Raf poradzi sobie z całą sprawą. Ciesz się tu zasłużonym szacunkiem i nie sądź, by go podejrzewano, że zrobił świadomie coś, co

zagroziłoby środowisku. Ktoś musiał sprowadzić te nieszczęsne motyle, by Rafa skompromitować albo zmusić go do wstrzymania prac. Widzisz, Raf pracuje według ścisłego harmonogramu, musi skończyć prace budowlane przed nadejściem monsunu.

-I naprawdę sądzisz, że Jeff nie miał z tym nic wspólnego?

-Jeff często mówił, że chciałby utrzyć Rafowi nosa, to prawda... Ale to były tylko chłopięce przechwałki. Nie wyobrażam sobie, by on naprawdę mógł uknuć coś przeciwko Rafowi. Gdyby prawda wyszła na jaw, zostałby całkiem upokorzony, on zaś niczego bardziej nie pragnie niż podziwu. Od dzieciństwa marzy o jednym: dorównać swemu przyjacielowi, Rafowi Conwayowi.

- Jakie to smutne... - wtrąciła Shelley.

- Jeff jeszcze może wszystko zmienić - powiedział Mark z naciskiem. - Carla nadal się nim interesuje. Powinien się z nią ożenić i zacząć wszystko od nowa.

Shelley wstała, by zebrać naczynia, ale ojciec zatrzymał ją spojrzeniem.

- Kochanie, wpadł tu dziś po południu mój adwokat, Ted Massingham... - Mark podniósł się i pomaszerował do holu, gdzie na małym, rzeźbionym stoliku obok ogromnej wazy z kwiatami leżała niewielka paczuszka. - Przywiózł to dla ciebie - powiedział, podając Shelley pudełko. - Przesyłka z Nowej Zelandii. Dostarczył ją Tedowi znajomy adwokat, który przyjechał tu właśnie na wakacje. Zdaje mi się, że to jakiś kolega po fachu twojego ojczyma. Zauważyłem, że nadawcą jest twoja matka... To musi być coś ważnego, skoro zadała sobie tyle trudu....

Shelley wzięła do ręki paczuszkę i przyglądała jej się ze zdumieniem.

- To dziwne - powiedziała wolno. - Pisałam do mamy, ale przecież o nic jej nie prosiłam.

- Otwórz, kochanie - ponaglił ojciec i dyskretnie cofnął się kilka kroków.

- Poczekaj, tato! - Shelley pospiesznie rozerwała sznurek i otworzyła długie płaskie pudełko obite granatowym aksamitem. Gdy spojrzała na jego zawartość, zaparło jej dech. - O Boże! - jęknęła.

To były perły. Sznur dużych, okrągłych pereł - najpiękniejszych pereł, jakie kiedykolwiek widziała.

- A więc nareszcie je dostałaś - powiedział Mark cichym, przejętym głosem.

W pudełku leżała mała karteczka. Shelley wyjęła ją i przeczytała. Były tam tylko trzy słowa: „Wybacz mi. Mama”.

Shelley odłożyła pudełko i zarzuciła ojcu ręce na szyję.

- Są przepiękne! Dziękuję ci...

- Sarina wiedziała, że przyjdzie taki dzień, kiedy będzie musiała ci je zwrócić - powiedział Mark tonem zadumy. Wyjął perły z pudełka i zapiął je Shelley na szyi. - Spójrz na siebie! - powiedział z nie ukrywaną radością.

Shelley stanęła przed lustrem. Na jej gładkiej, złotawej skórze perły Mórz Południowych lśniły jak małe kule światła. Wiedziała, że musiały kosztować majątek, ale przecież nie ich wartość miała znaczenie. .. A więc ojciec nigdy o niej nie zapomniał i zawsze ją kochał, tak samo mocno, jak ona go kochała...

- Zmówmy modlitwę, tato - powiedziała drżącym ze wzruszenia głosem.

Mark uśmiechnął się do jej odbicia w lustrze.

- Modlitwę, kochanie? Za co?

-Za to, że życie dało nam drugą szansę... - odrzekła po chwili zastanowienia.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Shelley stała przed lustrem i podziwiała się w milczeniu. Czowała, że wygląda doskonale. Tata będzie ze mnie dumny, myślała, a Raf... Tak, Raf znów będzie walczył z pokusą. Ale cóż to za pocieszenie!

Miała na sobie suknię ze złotej koronki, prosto od Shari, bardzo zmysłową - długą, z rozcięciem z boku, która opinała jej ciało niczym ciasny futerał. Na gołych plecach krzyżowały się tylko dwa sznury ozdobnych paciorków.

Odwróciła się znów do lustra, by założyć perły. Zajaśniały na jej opalonym dekolcie olśniewającym blaskiem. Ojciec podarował jej również kolczyki z perłami. Upierał się, by ją rozpieszcząć... Tak, teraz wiedziała - jej ojciec był człowiekiem bardzo bogatym. Czy Raf kiedykolwiek uwierzy, że przyjeżdżając tu nie miała o tym pojęcia? Zapewne nigdy. Westchnęła z rezygnacją.

Patrząc na swe odbicie w lustrze, przyznawała w duchu, że adoracja mężczyzny korzystnie wpływa na wygląd. Wyszczotkowała miękkie pukle swych włosów i część ich spięła do góry kłamrą, resztę zaś rozpuściła na ramiona i plecy.

- Pięknie wyglądasz - powiedział ojciec na jej widok. Sam również prezentował się doskonale w nowym, białym smokingu. - Naprawdę cudownie! Cieszę się, że założyłaś perły...

- Nie wiem, czym sobie na nie zasłużyłam, tato.

- Shelley podeszła do ojca i czułym gestem poprawiła mu muszkę.

- Zawsze we mnie wierzyłaś, córeczko - odparł.

- Nic się nie zmieniłaś, nadal jesteś moją małą, najśłodszą dziewczynką.

Gdy zajechali do White Cliffs, pierwsze taksujące spojrzenie Rafa upewniło Shelley, że wygląda olśniewająco. Na jego śmiałej, opalonej twarzy pojawił się zuchwały uśmiech, a oczy zaśniły mu dziwnym blaskiem. Daniella uczepiona jego ramienia serdecznie powitała Marka i Shelley.

- Och, Shelley! - zawołała. - Jakie masz wspaniałe perły!

- Ona w ogóle wygląda wspaniale - skomentował Raf, a Shelley odniosła wrażenie, że w oczach Danielli pojawił się nagły, zimny błysk zazdrości. - Wszyscy na was czekamy - podjął gospodarz. - Danny, pozwól, że przedstawię teraz Shelley.

Daniella niechętnie puściła ramię Rafa, a taktowny Mark natychmiast podsunął jej własne.

Dom był rzęście oświetlony i udekorowany pięknymi kwiatami. Z każdego pomieszczenia dochodziły dźwięki muzyki, śmiechu i rozmów. Jeff stał z boku i rozmawiał ze swą byłą narzeczoną, Carlą, dziewczyną o melancholijnej urodzie Madonny. Była tam również ciotka Irene w bardzo wytwornej sukni wyszywanej koralami. Powitała Shelley z rezerwą, jakby miała jej za złe, że odsunęła w cień jej ukochaną siostrzenicę. Cała rodzina Rafa - jego liczne ciotki z mężami i kuzyni - okazywali dziewczynie sympatię i szczerze zainteresowanie jej osobą. A mimo to Shelley nie mogła opanować lekkiego podenerwowania. Może nie powinnam zakładać tych pereł, myślała z niepokojem. One mnie oskarżają... Raf z pewnością oszacował wartość pereł, sukni, kolczyków... Założenie pereł nie było chyba mądrym posunięciem...

Daniella wyglądała również pięknie w krótkiej, trapezowej sukni, wyszywanej szafirowymi cekinami. Starła się zachowywać wobec Shelley poprawnie, choć trudno jej było ukryć zazdrość i przygnębienie. Najwyraźniej całe to przyjęcie, które Raf wydawał na cześć Shelley, nie przypadło jej do gustu, a sama Shelley, którą mężczyźni rozchwytywali do tańca, wybitnie ją irytowała.

Shelley tańczyła właśnie z Luca, młodym kuzynem Rafa. Sam Raf jak dotąd z nią nie zatańczył, ale cały czas czuła na sobie jego wzrok. Teraz wszedł na parkiet i zdecydowanym gestem chwycił ją za ramię, jednocześnie posyłając Luce wymowne spojrzenie.

- Chodź, przedstawię cię Nicolsonom - powiedział ostro.

- Dziękuję, Shelley. - Luca uśmiechnął się do niej. - Byłaś wspaniała.

Za chwilę znów zatańczymy.

- Dopiero wtedy, gdy na to pozwolę - mruknął Raf pod nosem i zwrócił się do Shelley: - Myślałem, że zaczniecie się kochać na parkiecie. Cóż, trudno byłoby winić Lucę...

Shelley pod wpływem tego oskarżenia gwałtownie odrzuciła głowę do tyłu.

- Co takiego zrobiłam? - spytała z wyrzutem.

- Nie udawaj niewiniątka! - W jego oczach pojawił się nagły błysk. Czyżby pogardy? - Jaśniejesz jak prawdziwa perła z Mórza Południowych - dodał z ironią.

Och, jakże była naiwna, zakładając te perły! Utwierdziła go tylko w przekonaniu, że jest zachłanną, marnotrawną córką, która wraca do ojca, by zagarnąć jego majątek.

- Nie podoba ci się, że założyłam perły, prawda? - spytała cicho i dodała tonem wyjaśnienia: - Matka dopiero co mi je przysłała. Przez cały czas leżały zamknięte w Nowej Zelandii.

- Nie oszukuj - rzekł szorstko i posłał jej jadowite spojrzenie. - Nie kłóćmy się przy ludziach. Wszyscy na nas patrzą. Chodź, lepiej zatańczmy. Tańczyłaś już ze wszystkimi, teraz kolej na mnie.

Wyprowadził ją na romantycznie oświetlony taras i zaczęli tańczyć. Gdy tylko pełnym gracji ruchem przycisnął jej ciało do siebie, odczuła silne podniecenie. Ich ciała zlewały się i w doskonałej harmonii płynęły w rytm miłosnej piosenki, która była przebojem wieczoru. Raf okazał się zawołanym tancerzem, lepszym jeszcze niż Luca.

- Jesteś taka piękna... - szeptał do jej ucha, przesuwając rękę po jej gołych plecach. - To niesprawiedliwe... Czuję twój zapach... Chciałbym cię tulić naga...

- Nie, Raf - zaprotestowała słabym głosem, czując upojny zawrót głowy. - Nie mów tak...

-Masz rację. W gruncie rzeczy ci nie ufam... Drzemią w tobie złe moce. Powinniśmy przeprowadzić nad tobą egzorcyzmy - roześmiał się gorzko.

- Boisz się mnie?

Przycisnął ją do siebie tak mocno, że z trudem łapała oddech.

- Czy się boję? Piękne kobiety wywołują w mężczyźnie przerażenie. Włożyłaś tę suknię, by mnie kusić... Nie zaprzeczaj! - Musnął wargami miękką skórę za jej uchem.

- Skoro tak uważasz... - Spojrzała do góry, szeroko otwierając oczy. - Przecież będziesz musiał się kiedyś ożenić. Z pewnością chcesz mieć dzieci...

- Czy mam rozumieć, że proponujesz mi wspólne dziecko? - roześmiał się w głos.

- O Boże, nie! - westchnęła głęboko. - Niech Bóg ma w swej opiece kobietę, która cię pokocha, Raf.

Puścił ją nagle, a oczy jego zapłonęły dziwnym blaskiem.

Na tarasie pojawił się Mark Stuart. Na widok ojca Shelley odzyskała wewnętrzną równowagę.

-Zeszli właśnie na dół Jamiesonowie, kochanie - poinformował. - Chodź, chciałbym cię przedstawić.

- Paul jest twoim impresario, prawda?

- Mam nadzieję, że będzie również twoim.

- Och, tato, nie jestem wystarczająco dobra.

- Nonsens! - Mark objął ją w pól i dodał głosem, w którym kryła się miłość i duma: - Jesteś naprawdę dobra, Shelley, i musisz w siebie uwierzyć.

Jamiesonowie okazali się uroczymi ludźmi w średnim wieku. Przyjechali specjalnie na przyjęcie i zamierzali zostać u Rafa przez kilka dni.

-Twój ojciec jest wspaniałym artystą - powiedział Paul Jamieson. - Powinien zostać uznany już dawno temu. I pomyśleć, że gdyby nie Raf, do tej pory nikt by o nim nie słyszał. Zorganizowaliśmy już trzy wystawy i wszystkie prace zostały sprzedane. Następny wernisaż urządzamy w marcu. Słyszałem, że ty również malujesz?

- Tak. Miałam jedną wystawę w Auckland.

- Mam nadzieję, że będę mógł zobaczyć twoje prace... Może wpadniemy do was w poniedziałek...

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, a potem podszedł do nich Jeff Gant i poprosił Shelley do tańca.

- Och, Jeff, może usiadzimy - zaproponowała.

- Jestem już trochę zmęczona.

- Wyjdźmy więc na taras - powiedział. - Jest tak pięknie. Zobacz, pełnia księżycy!

Shelley z ulgą opadła na krzesło.

- Co słyhać, Jeff? Wyglądasz na zdenerwowanego... Mam nadzieję, że wszystko w porządku...?

- Mam pewne kłopoty... - zaczął niepewnie.

- Mogę ci w czymś pomóc?

Jeff przyglądał się jej badawczo i długo zwlekał z odpowiedzią.

-Być może... Widzisz, Shelley, nie znam wielu ludzi, z którymi mógłbym porozmawiać... Ale dziś nie chciałbym psuć ci zabawy. Może umówimy się na kawę w przyszłym tygodniu?

- Poniedziałek odpada, bo jesteśmy z ojcem umówieni... - podjęła z wahaniem.

- Może wtorek? Pojechalibyśmy do „Milano”, to dobry lokal...

- Nie możesz mi powiedzieć, o co chodzi?

- Nie teraz - rzekł krótko i rozejrzał się wokół.

- Niezły dom, prawda? - zmienił pospiesznie temat.

- Raf to błyskotliwy architekt. Projektował również mój dom... Nie wiem dlaczego, ale wszystkim powtarzam, że sam go projektowałem...

- Och, Jeff, nie zadrećzaj się tym. Po prostu więcej tak nie mów.

- Carla ciągle powtarza, że powinienem stąd wyjechać - uśmiechnął się ponuro. - Nie ma dla mnie miejsca na ziemi, po której, stąpa Raf...

Widzisz, Shelley, chciałbym mu dorównać, a nie potrafię.

- Może Carla ma rację - podjęła Shelley. - To urocza dziewczyna, mam nadzieję, że będę miała okazję poznać ją bliżej.

- Jest dla mnie za dobra! - wybuchnął nagle Jeff.

- Cóż mógłbym jej ofiarować? Stale próbuję i nic mi nie wychodzi...

- Może dobierasz sobie nieodpowiednich ludzi? Piuwe oczy Jeffa pociemniały.

- Co masz na myśli, Shelley?

- Ojciec wspominał mi o pewnym człowieku nazwiskiem Harris...

Jeff spuścił nagle wzrok i przez dłuższą chwilę w milczeniu bawił się szklanym świecznikiem.

- Lepiej by się stało, gdybym go nigdy nie poznał - rzekł cicho i dodał po chwili: - To miło, Shelley, że mogę z tobą porozmawiać. Nie zaznałem kobiecej życzliwości, odkąd...

- Ciągle kochasz Carle, prawda? - spytała.

- Nie mam jej nic do zaoferowania. - Jeff ponuro potrząsnął głową. - Gdyby wyszła za mnie, szybko by oprzytomniała. Cała rodzina Rafa jest bardzo bogata, a ja... Dwa lata temu miałem trochę pieniędzy i postanowiłem zaryzykować... Ale nie mam tyle szczęścia co Raf. Wszystkie moje przedsięwzięcia spaliły na panewce. Straciłem nie tylko pieniądze, ale i szacunek dla samego siebie. Och, zrobiłem się okropnie zazdrosny. Czasem myślę, że gdybym mógł zaszkodzić Rafowi, zrobiłbym to.

- Nie uważasz, że wówczas czułbyś się jeszcze gorzej?

- Masz z pewnością rację! - roześmiał się gorzko i odwrócił głowę. -

Zobacz, Daniella zmierza w naszą stronę! Szkoda, że nie widziałaś, jak na ciebie patrzyła, gdy tańczyłaś z Rafem. Gdyby spojrzenie mogło zabijać! Wy dwoje wydzielacie jakieś zmysłowe fluidy.

- Aż tak bardzo to widać?

Jeff roześmiał się i otarł pot z czoła.

- No pewnie, że widać! Zaszłaś mu za skórę, Shelley! Gdy zjawiła się Daniella, Jeff skłonił się grzecznie,

a potem ponad głową Danielli puścił do Shelley oko i pośpiesznie się oddalił.

- Nie mogę wprost uwierzyć w to, co wyprawiasz, Shelley - zaczęła Daniella, gdy tylko Jeff znalazł się poza zasięgiem jej głosu.

- O co chodzi, Daniello? - Shelley poczuła nagły ucisk w żołądku.

- Nikt w ten sposób nie tańczy z mężczyzną - wybuchła piękna Włoszka, nerwowo zaciskając usta. - Nawet gdy są zaręczeni. To nie wypada...

- W takim razie porozmawiaj z Lucą - odparowała Shelley ostrym tonem.

-Ależ nie chodzi o Lucę! - Daniella odrzuciła głowę do tyłu. Oczy jej rzucały gniewne błyski. - Doskonale wiesz, że mam na myśli Raphaela!

- A więc nie wolno mi z nim zatańczyć? - Shelley ledwie powstrzymała wybuch. - Myślę, że posuwasz się za daleko, Daniello. Żadne z nas nie musi się przed tobą tłumaczyć.

Daniella odchyliła się na oparcie krzesła. Wyglądała na całkowicie zaskoczoną. Aż otworzyła ze zdziwienia usta.

- To ty nic nie wiesz? - wyjąkała. - Nie powiedział ci? - Wbiła wzrok w swe długie, wypiełgnowane paznokcie i ciągnęła spokojniejszym tonem: - Widzisz, moje stosunki z Rafem ostatnio uległy zmianie... Nie traktuje mnie już jak dziecko ani swoją kuzynkę... Nie mam powodu cię okłamywać, Shelley.

- Myślę, że właśnie to robisz... albo też oszukujesz samą siebie - zasugerowała Shelley. - Wydaje mi się, że jesteście tylko dobrymi przyjaciółmi...

- Gdyby tak było, nie spałby ze mną! - odparowała szybko Daniella i zarumieniła się lekko.

- Kłamiesz!

- Dlaczego więc sama go nie spytasz? - parsknęła Daniella drwiąco. - Spytaj go!

- Chcesz... chcesz powiedzieć, że jesteście kochankami? - Shelley czuła, że oblewa ją zimny pot.

Daniella przyłożyła rękę do piersi i rzekła głosem pełnym emfazy:

- Zapewniam cię, że nic na tym świecie nie dorównuje ramionom Raphaela. Zawsze go pragnęłam... Był, jest i będzie jedynym mężczyzną w moim życiu. Wydaje mi się, że od zawsze byłam w nim szaleńczo zakochana. Wierzę, że poprosi mnie o rękę, nim wrócę do Włoch. Ciotka Irene też ma taką nadzieję.

- To rzeczywiście będzie dla niej przykre, gdy się rozczaruje - powiedziała Shelley ponuro. Czy możliwe, żeby Raf kochał się z Daniellą? Nie wyczuwało się między nimi namiętności ani romantycznej aury... Ale jeżeli to prawda... Czuła, że serce ściska jej się z bólu.

- Wiem, że trudno ci się z tym pogodzić - ciągnęła Daniella współczującym tonem. - Domyślam się, że Raphael ci się podoba. Nie mogę cię za to winić. Za nim kobiety szaleją. Może po prostu miałaś nadzieję na krótki romans? Raf twierdzi, że należysz do kobiet, które szukają okazji...

Shelley skuliła się, jakby smagnięta batem.

- Nie wierzę, żeby Raf coś takiego powiedział.

- Niczego nie zmyślam, Shelley. - Daniella miała poważny wyraz twarzy. - W twojej rodzinie było sporo kłopotów, nieprawdaż? Nigdy nie zadałaś sobie trudu, by odwiedzić ojca, i teraz nagle przyjechałaś, gdy Mark stał się człowiekiem bogatym. Nie sądzisz, że można cię nazwać osobą interesowną?

- Nie mam zamiaru tego słuchać, Daniela o - powiedziała Shelley sztywno. - Być może Raf jest dla ciebie wyrocznią, ale nie dla mnie, i będę wdzięczna, jeśli oboje przestaniecie wtrącać się w moje sprawy.

-Przykro mi, bardzo mi przykro... - Daniella zająknęła się. - Nie chciałam cię urazić... Po prostu cała ta sytuacja jest dość trudna... Chciałam cię tylko ostrzec.

- Przed czym? - rzuciła Shelley ostro.

- Przed mężczyznami. Widzisz, wyglądasz wspaniale, bardzo seksownie, i mężczyźni na to reagują... Raphael jest bardzo podatny na kobiece wdzięki. - Roześmiała się perliście. - Wierz mi, ja to wiem i już się z tym pogodziłam.

-Masz na myśli zdrady? - Shelley z ledwością trzymała nerwy na wodzy.

- Powiedzmy... małe skoki w bok - Daniella westchnęła. - To stresujące, ale takie jest życie. Mężczyzna może kochać żonę, ale czasem ucina sobie na boku mały romansik.

- Być może takie są zwyczaje w Europie, Daniello

- powiedziała Shelley bez ogródek - ale tutaj takie zachowanie nie jest popularne.

Daniella chwyciła się stołu tak mocno, że aż zbielały jej kłykcie.

- Posłuchaj, Shelley... Nie mówmy już o tym. W gruncie rzeczy chciałam, byśmy zostały przyjaciółkami.

- Słucham? - Shelley nie musiała udawać zaskoczenia.

- Mówię poważnie - odparła Daniella przekonującym tonem. -

Sądziłam, że możesz nie wiedzieć o mnie i Raphaelu i dlatego musiałam cię ostrzec. Cała rodzina oczekuje naszych zaręczyn. Och, gdyby tylko żył dziadek Pietro! Tak bardzo chciał, żebyśmy się pobrali. Dla nas, Włochów, rodzina bardzo wiele znaczy. Raphael, choć miał ojca Anglika, w głębi duszy należy do nas. Na pewno musiałaś to zauważyć...

- Nigdy nawet nie wspomniał o małżeństwie z tobą - rzekła Shelley obcesowo.

- A czy miał powody, by się przed tobą tłumaczyć? - spytała Daniella i znów jej policzki pokrył rumieniec.

Shelley potrząsnęła głową.

- Oczywiście, że nie, niemniej jednak, dlaczego zachowuje się tak... dyskretnie... ?

Daniella omiotła spojrzeniem romantycznie oświetlony ogród.

- To już twoja sprawa, czy mi uwierzysz, czy nie. To, że mężczyzna cię pragnie, nie oznacza jeszcze, że się z tobą ożeni.

- Masz rację. - Minęła chwila. Wieczność. Shelley wstała. - To miło, że mnie ostrzegłaś, Daniello.

-Moja droga... - Daniella zająknęła się. Najwyraźniej była rozstrojona. - Wszyscy mężczyźni są do siebie podobni. Nawet mój ukochany Raphael. Złóż to na karb ich odmiennej biologii... czegokolwiek... ale przysięgam ci, on mnie kocha.

Shelley oddaliła się pospiesznie. Musiała walczyć z ogarniającą ją pasją. Gdzie jest ojciec? Do licha! Nigdzie nie mogła go wypatrzeć.

- Co ci się stało? - To był głos Rafa.

- Szukam ojca - odrzekła lodowato.

Raf ze zmarszczonym czołem rozejrzał się po ogromnym salonie.

- Prawdopodobnie rozmawia gdzieś z Paulem i Marisą. Poczekaj! - Chwycił ją raptownie za ramię i odciągnął na bok. - Powiedz mi, co się stało?

- Nic! - Próbowała wyrwać się z jego uścisku. Raf bezceremonialnie wyprowadził ją na korytarz, a potem niemal siłą zawlókł do swego gabinetu. Tam dopiero ją puścił i zamknął drzwi na klucz. Gdy się odwrócił, spostrzegła, że twarz miał pociemniałą ze złości.

- Wystarczy zostawić cię na kilka minut i już zdążysz narozrabiać. Widziałem, że rozmawiałaś z Jeffem...

- Chyba nie masz zamiaru go o to winić?

- On zwykle wywołuje kłopoty.

- Tym razem ich nie spowodował! Właściwie bardzo mu współczuję - dodała nie całkiem szczerze.

-A ja wcale. Jeff wystarczająco rozczuła się nad samym sobą.

- No tak - powiedziała z ironią - zapomniałam, że wielkiego Rafa Conwaya nic nie wzrusza. Ty w ogóle nie jesteś człowiekiem, prawda? Jesteś Bogiem!

Oczy błysnęły mu gniewem.

- Shelley - wycedził przez zęby - mam ogromną ochotę cię uderzyć.

- A więc co cię powstrzymuje? Za każdym razem, gdy mnie widzisz, znęcasz się nade mną. Mam wrażenie, że pewnego dnia wdepcesz mnie w ziemię, byle tylko postawić na swoim. Zawsze robisz wszystko, co chcesz, prawda?

- Sądzisz, że mnie tak dobrze znasz? Gorące, palące łzy napłynęły jej do oczu.

- Nic o tobie nie wiem! - wybuchła. - Wiem tylko, że gdy jesteśmy razem, doprowadzasz mnie do szału!

-I ty nie masz z tym nic wspólnego, tak? - roześmiał się sarkastycznie.

- Do diabła, Raf! Postępujesz nieuczciwie! - Przyłożyła ręce do rozpalonej twarzy.

- Jeff ci to powiedział?

- Jeff nie ma z tym nic wspólnego. Wykrzywił swe piękne wargi w nieprzyjemnym uśmiechu.

- Znam Jeffa trochę lepiej niż ty. Jednego dnia jest moim przyjacielem, a następnego dnia kopie pode mną dołki. Nie chciałem go dziś zapraszać ze względu na Carlę. Wystarczająco już ją zranił.

- Są w życiu pewne sprawy, które, jak widzę, wymykają ci się spod kontroli - powiedziała zgryźliwie. - Dlaczego nie zostawisz Jeffa i Carli w

spokoju? A skoro już o tym mowa, będę wdzięczna, jeśli przestaniesz rozmawiać na mój temat z Daniellą. Już raz cię o to prosiłam.

- A więc ucięłaś sobie z nią małą pogawędkę?

- Popatrzył na nią z dziwnym, trochę groźnym wyrazem twarzy.

- Skoro na prawo i lewo rozpowiadasz moje rodzinne sekrety, dlaczego ukrywasz swoje?

- Na przykład jakie?

- Na przykład to, że flirtujesz ze swoją kuzynką pod nosem jej ciotki!

- Jesteś bezdennie głupia - powiedział z wyraźnym obrzydzeniem. -

Iw dodatku bezczelna.

- No tak! - wycodziła przez zęby. - Zapomniałam, że ty nie podlegasz krytyce. Nie znosisz prawdy i boisz się jej.

- Mam dość. Więcej od ciebie nie zniosę. - Popatrzył na nią tak intensywnie, że przeszył ją dreszcz.

- W takim razie trzymaj się ode mnie z daleka

- powiedziała z naciskiem.

Wyprowadzony z równowagi chciał ją chwycić za rękę, ale cofnęła się o krok.

- Nie pozwolę... nie pozwolę, byś popsuła ten wieczór - powiedział tonem groźby. - Opowiadasz wierutne, obrzydliwe brednie i sądzę, że tylko po to, by odciągnąć od siebie uwagę. Ktoś musi przywołać cię do porządku!

- Przywołać mnie do porządku? - Oczy miała szeroko otwarte; malowało się w nich szczere zdumienie. - To ty rozpowiadasz o mnie takie rzeczy... takie rzeczy, które przyprawiają o mdłości. - Dotknęła sznura pereł i przebierała po nich palcami. - Jeśli ojciec daje mi prezenty... -

Chciała się usprawiedliwić, ale nie mogła. Musiałaby zdradzić matkę, a czuła, że jeśli to uczyni, Raf będzie nią pogardzać. - Och, mniejsza z tym - dodała zakłopotana.

- Mniejsza z tym? - Ton jego głosu był niebywale drażniący.

- Idź do diabła! - Rzuciła się na niego gwałtownie, ale on okazał się szybszy. Chwytał jej ręce i unieruchomił, a potem, by zdusić jej krzyk, nieoczekiwanie przycisnął wargi do jej ust tak silnie, że na chwilę straciła oddech. Nagle poczuła się całkiem bezbronna i przytuliła się do jego silnego ciała.

- Powinnam cię nienawidzić - jęknęła. - I nienawidzę cię. - Uniosła głowę. W oczach kręciły jej się łzy. - Proszę cię, przestań... - błagała. - Obiecuję, że już nic nie powiem...

- Shelley! - Przesunął dłonią po jej policzku tak czule i delikatnie, że poczuła się zupełnie rozbrojona. -Przyrzekłem sobie, że nie będę cię dziś całował...

- Rozumiem... - powiedziała załamującym się głosem. - Nie musisz niczego wyjaśniać... - Próbowała się poruszyć, ale on wciąż mocno trzymał ją w objęciach.

- Przepraszam, Shelley. Proszę... proszę, nie płacz. Nie potrafię znieść widoku twych łez...

- A więc dlaczego mnie tak męczysz?

- Mój Boże! - Przycisnął ją do siebie mocniej. - Cicho, już cicho...

Nie płacz.

W nagłym olśnieniu pojęła, że kocha tego mężczyznę. Kochała go od samego początku i tylko splot fatalnych okoliczności sprawił, że musiała

łumić w sobie to uczucie. On jej przecież nie kochał. Z pewnością jej nie kochał! Podniecała go, pragnął jej... i to wszystko.

Odsunęła się od niego z całą siłą, na jaką było ją stać. Trwało chwilę, nim zebrała myśli. Mówienie sprawiało jej wysiłek.

- Wydaje mi się - wyjąkała - że powinniśmy widywać się jak najrzadziej przez resztę mego pobytu tutaj. Jeśli obydwójce zachowamy pewną rezerwę, nie dojdzie więcej do takich sytuacji...

Podszedł do barku i nalał sobie kieliszek brandy. -Jak sobie życzysz, Shelley. - Jego lśniące oczy spoczęły na jej twarzy. - Masz ochotę na drinka?

- Dziękuję, dość już dziś wypiałam.

- Jeszcze nim cię poznałem, miałem niejasne wrażenie, że wprowadzisz chaos w moje życie - powiedział w zamyśleniu.

Shelley wyczuła w jego słowach gniew. Odwróciła się i poszła w stronę drzwi.

- Wszystko wróci do normy, jeśli nie będziemy się spotykać - powiedziała.

Roześmiał się krótko, nerwowo.

- Pozwól, aniołku, że zadam ci jedno pytanie, nim odejdiesz. Jak masz zamiar to zrobić?

Przystanęła przy drzwiach, kurczowo trzymając w dłoni mosiężną klamkę. Spojrzała Rafowi w twarz. Jego błyszczące oczy uśmiechały się do niej drwiąco. To nie był dobry znak.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Niedziela minęła pracowicie. Malowanie odrywało Shelley od posepnych myśli. Raf i Daniella... Czyż mogła to być prawda? Może Daniella kłamała? A jednak... Jednak trudno było zaprzeczyć, że istniała między nimi silna, rodzinna więź, Jeżeli dziadek Pietro chciał, by Raf poślubił Daniellę, być może wnuk przyrzekł mu, że uszanuje jego życzenie...

Co za fatalna sytuacja! Shelley odpychała od siebie złe myśli, usiłując skoncentrować się na martwej naturze, którą właśnie kończyła - tropikalne owoce i kwiaty ustawione na obijanej mosiądzem koreańskiej skrzyni.

- To jedno z twoich najlepszych płócien, kochanie - powiedział ojciec. - Nie oznacza to jednak, że nie doceniam pozostałych. Doskonale uchwyciłaś popołudniowe światło, no i z każdym pociągnięciem pędzla poprawiasz technikę.

- To twoja zasługa, tato. Nauczyłeś mnie więcej niż ktokolwiek.

Mark podszedł do niej i pocałował ją w czubek głowy, a potem powrócił do selekcjonowania obrazów.

- Ten pejzaż z naszym domem wydaje mi się świetny. Bardzo romantyczny... No i żółty hibiskus w koszu też z pewnością warto pokazać. Poza tym... gitara i balijskie garnki, i kaczka na stawie. Jestem pewien, że Paul będzie pod wrażeniem.

- Co damy im na lunch? - spytała Shelley. - Może zimną zupę z avocado?

- Doskonale - bąknął Mark mimochodem, ustawiając kolejne płótno na sztalugach.

- A potem podamy sałatkę z owoców morza - ciągnęła Shelley - a na deser ananasa i lody orzechowe. Co o tym myślisz?

- Świetny pomysł, kochanie. - Mark z zadowoleniem przyglądał się wybranym obrazom. - Jestem z ciebie bardzo dumny. Naprawdę masz talent. Paul rzadko prawi komplementy, ale tym razem będzie musiał.

- Dlatego, że nazywam się Stuart? - spytała z chytrym uśmiechem.

- Ależ nie! - zaprzeczył żywo ojciec. - Zobaczysz, że to będzie twój własny sukces. Och, poprosiłem również Rafa, by wpadł - dodał po chwili i ciągnął tonem zadumy: - Pamiętam, gdy go poznałem, był zaledwie chłopcem, ale już wówczas miał wrażliwość i intelekt dorosłego człowieka. Od razu byłem pewien, że daleko zajdzie i nie omyliłem się. Co więcej, pociągnął mnie za sobą. Raf musi uczestniczyć w twoim debiucie, kochanie. Sam doskonale rysuje. Powinnaś go poprosić, by pokazał ci swoje szkice. To prawdziwy artysta!

Wieczorem przy kolacji Mark nieoczekiwanie poruszył temat swoich interesów. Wyraz twarzy Shelley zdradzał zaniepokojenie.

- Kiedyś musisz się dowiedzieć, Co posiadamy - wyjaśnił uspokajająco. - Obrazy przyniosły mi spore pieniądze, ale tak naprawdę dopiero Raf uczynił mnie człowiekiem bogatym. On ma zmysł do interesów i potrafił doskonale te pieniądze ulokować. Mam nadzieję, że i tobie będzie pomagał... Napisałem testament. Jest złożony w kancelarii Massinghama. Oczywiście wszystko, co mam, zapisałem tobie, z wyjątkiem kilku obrazów, które przeznaczyłem jako prezent dla Rafa. Uczyniłem go egzekutorem testamentu.

- Dlaczego właśnie teraz mi o tym mówisz, tato?

- W oczach Shelley malował się strach.

- To zupełnie naturalna rozmowa. Jesteś moim jedynym dzieckiem i musisz o wszystkim wiedzieć. Bardzo się cieszę, że mogę przynajmniej zabezpieczyć cię finansowo. Jak dotąd nie miałaś z ojca wiele pożytku...

- Nie mów tak! - zaproponowała. - Wcale tak nie uważam. Bardzo cię kocham, tato... Zawsze cię kochałam.

- Wiem o tym. - Wyciągnął rękę i położył na jej dłoni.

Nie zostawiaj mnie, tato! - krzyczało serce Shelley, ale jej twarz nie zdradzała niczego poza czułym uśmiechem.

Następnego poranka, dokładnie o jedenastej, terenowy samochód Rafa zajechał przed dom. Ojciec i córka wyszli na werandę, by powitać gości.

- Wyglądasz uroczo, Shelley - powiedziała ciepło Marisa i pocałowała ją w policzek.

- Promienna żółta róża! - rzucił Raf na powitanie i posłał jej jedno z tych płomiennych, gorących spojrzeń.

- Co za malownicze miejsce! - Paul Jamieson z wyraźnym zachwytem przyglądał się domowi. - Dziwne, że żadne z was go nie namalowało...

- Shelley to zrobiła - odparł Mark z uśmiechem-

- Ustawiliśmy obrazy w pracowni, ale najpierw usiądźmy na werandzie i dla ochłody napijmy się mrożonej herbaty.

Popijając herbatę, wiedli swobodną konwersację. Shelley od czasu do czasu włączała się do rozmowy, ale w głębi duszy czuła narastającą treść. Paul Jamieson był uznanym pośrednikiem zajmującym się handlem

działami sztuki i posiadał międzynarodową klientelę. Czy mogła go zainteresować początkująca malarka? Co prawda ojciec z wielkim przekonaniem mówił o jej talencie, ale czyż kochający ojciec może być obiektywnym sędzią... W dodatku Raf miał po raz pierwszy zobaczyć jej prace... Shelley w nie mniejszym stopniu zależało na jego opinii. Pomyślała o recenzjach po wernisażu w Auckland. Były entuzjastyczne, przepowiadały jej wielką karierę i niemal uwierzyła, że naprawdę ma talent. Dopiero pracując u boku ojca pojęła, jak wiele jeszcze musi się nauczyć. Ojciec był mistrzem niedoścignionym.

Gdy weszli do pracowni, Shelley stanęła nieco z boku, a Paul, Marisa i Raf przechodzili od jednego obrazu do drugiego, uważnie im się przyglądając. Mark uśmiechał się do niej pokrzepiająco, jakby z góry znał werdykt. Wreszcie Paul oderwał wzrok od obrazów i zwrócił się do Shelley:

- Moja droga, Mark co prawda mówił mi, że jesteś utalentowana, ale myślałem, że, jak to ojciec, nieco przesadza. Tymczasem... Tak, to naprawdę dobre płótna, a przynajmniej dwa z nich są znakomite: martwa natura na skrzyni i dom. Muszę ci pogratulować. Doprawdy nie miałem pojęcia!

Marisa również wyglądała na zachwyconą, a Raf wyciągnął do Shelley rękę i powiedział:

- Gratuluję! To naprawdę dobre płótna. Jestem pewien, że Paul sprzeda je na pniu, ale chciałbym, byś sprzedała mi jeden obraz. Na pamiątkę... Żółty hibiskus w koszu.

- Brawo! - zawołał uszczęśliwiony Mark. - Zastanawiam się, Paul, dlaczego nie zwróciłeś na niego uwagi. Shelley znakomicie maluje kwiaty, a ten żółty hibiskus to po prostu majstersztyk. Zaufaj Rafowi.

Paul, nieco zbity z tropu, raz jeszcze przyjrzał się płótnom.

- Owszem, zgoda. Ale pejzaż z domem nadal jest moim faworytem.

- Chcę ci podarować ten obraz, Raf - powiedziała cicho Shelley, patrząc Rafowi głęboko w oczy.

-Ależ, słuchaj - zaprotestowała Marisa - nie powinnaś rozdawać swoich obrazów.

- Chciałabym jednak - powtórzyła Shelley bardzo stanowczym tonem - aby należał do Rafa.

- No, no! - Mark był bardzo wzruszony.

- Będę go cenił jak największy skarb. - Raf pochylił swą przystojną, ciemną głowę i przelotnie pocałował Shelley w policzek.

A więc było jednak coś, co w niej podziwiał! Świadomość tego przyniosła Shelley ukojenie i odrobinę optymizmu.

Goście odjechali dopiero późnym popołudniem. Shelley długo jeszcze nie mogła dojść do siebie, tak bardzo była podekscytowana. Dotąd sądziła, że upłynie jeszcze wiele lat, nim zyska uznanie, a tymczasem sprawy potoczyły się nieoczekiwanie szybko. Podczas lunchu rozmawiano o zorganizowaniu wspólnej wystawy prac ojca i córki. Shelley przejawiała w tej sprawie ostrożny optymizm, Mark jednak wydawał się szczerze zachwycony pomysłem. Paul i Raf również byli nastawieni entuzjastycznie. Tak więc Raf, który tak wiele zrobił dla jej ojca, także w jej życiu zaczął odgrywać rolę szczególną. Bez wątpienia ten dzień był znaczący w jej karierze.

Gdy wieczorem pochyliła się, by pocałować ojca na dobranoc, ten bacznie jej się przypatrując zapytał:

- Interesujesz się Rafem, prawda?

- Tak, tato - odparła szczerze - ale... Raf ma bardzo skomplikowaną osobowość...

- To najwspanialszy młody człowiek, jakiego znam

- rzekł Mark stanowczo. - Ma zasady i dobre serce... Jest również bardzo ambitny, bardzo przebojowy... Wiem, potrafi być czasem nieznośnie apodyktyczny, ale właśnie w tym tkwi jego siła. Jest niesłychanie bogaty, ale musisz wiedzieć, że bardzo uczciwie i odpowiedzialnie dysponuje swoim majątkiem. Ma, podobnie jak jego dziadek, wrodzone poczucie moralnej odpowiedzialności za innych ludzi i, podobnie jak czynił to Pietro, dużo pieniędzy wydatkuje na cele społeczne...

Shelley przysiadła na miękkim taborecie u stóp ojca.

- Tato, zachwalasz go jak kandydata do mojej ręki - powiedziała z uśmiechem, ale w głosie jej dźwięczał smutek.

- No i co z tego? - obruszył się ojciec.

- Powinieneś wiedzieć, że Daniella go kocha...

- Och, daj spokój! - Mark najwyraźniej próbował zbagatelizować sprawę. - Trudno zliczyć, ile kobiet kocha się w Rafie. To rzadki rarytas.

- Mówię poważnie - upierała się Shelley. - Daniella powiedziała mi na przyjęciu, że zamierzają się z Rafem pobrać. Powiedziała, że cała rodzina tego oczekuje, że pragnął tego dziadek Rafa...

Na twarzy Marka malowało się niedowierzanie.

- Odnoszę wrażenie, że Daniella wszystko sobie wymyśliła - powiedział sceptycznym tonem. - Prawdopodobnie grzeszy nadmiarem wyobraźni. Mam oczy, kochanie... Owszem, Raf lubi Daniellę, ale jego zachowanie zupełnie nie wskazuje na to, by był w niej zakochany. Traktuje ją z sympatią, podobnie jak Carlę i inne młode kuzynki.

- Daniella twierdzi, że są kochankami... - wyznała Shelley w przyływie szczerości.

-Och, absolutnie w to nie wierzę! - zaperzył się Mark. - Między nimi nie wyczuwa się intymnej atmosfery. Natomiast, gdy widzę ciebie i Rafa... No cóż, mam wrażenie, że powietrze jest naelektryzowane.

- Jest coś takiego, czego żadne z nas nie potrafi kontrolować... Ale zapewniam cię, że w głębi duszy Raf mnie nie znosi.

Niebieskie oczy Marka przybrały zamyślony wyraz.

- Widzisz, być może wrażenie, jakie wywarłaś na Rafie, było zbyt gwałtowne. On nie jest przyzwyczajony, by cokolwiek wymykało mu się spod kontroli. Prawdopodobnie przewróciłaś mu świat do góry nogami. - Z zakłopotaniem potarł brodę. - W słowach Danielli kryją się jedynie jej pobożne życzenia... Zapewne fantazjuje...

Następnego dnia Shelley nie bez pewnej tremy oznajmiła ojcu, że jedzie na spotkanie z Jeffem. Tak jak się spodziewała, Mark nie był zachwycony.

- Nie chcę, by Jeff mieszał cię w swoje sprawy - oświadczył. - To doprawdy dziwny zbieg okoliczności, że pragnie z tobą rozmawiać właśnie teraz, gdy wyszła na jaw ta cała afera z motylami. Raf dzwonił dziś rano. Umówił się na spotkanie w departamencie ochrony środowiska.

Oni tam ze swej strony również są zaskoczeni. Ostatecznie ich ludzie przeprowadzali w swoim czasie inspekcję na wyspie.

- Może Jeff chce porozmawiać ze mną o Carli... - zasugerowała. -
Wiesz, że on nadal ją kocha.

- Jakimś cudem Carla kocha go również. - Mark starał się
pohamować gniew. - Nie wiem, czy to powinno nas cieszyć... - Raptownie
wstał. - Może chciałabyś, żebym z tobą pojechał?

- Lepiej nie, tato. Jeśli Jeff istotnie ma coś interesującego do
powiedzenia, przy tobie będzie skrepowany i niczego się nie dowiemy.

Gdy Shelley stanęła w drzwiach modnej włoskiej kafeterii, Jeff
podniósł się i wyszedł jej na spotkanie.

- Dzięki, że się zjawiałaś - powiedział, prowadząc ją do stolika. -
Ślicznie wyglądasz. - Obrzucił ją pełnym uznania spojrzeniem.

Shelley zamówiła cappuccino oraz kanapkę z kurczakiem i avocado i
rozejrzała się po przytulnym wnętrzu. Z tyłu lokalu znajdowało się małe
patio z fontanną pośrodku. Z zawieszonych nad głowami gości belek
zwisały ogromne paprocie.

- Przepraszam, że byłem tak tajemniczy - odezwał się Jeff. - Ale,
rozumiesz, na przyjęciu bardzo trudno spokojnie porozmawiać. Właściwie
nie wiem, od czego powinienem zacząć... - Był wyraźnie zmieszany.

- Jak twój ojciec zareagował na wiadomość, że się ze mną umówiłaś?

-Prawdę mówiąc, domyślił się, że nie chodzi tu o zwykłe spotkanie...

-A co mu powiedziałaś? - W głosie Jeffa wyczuwało się napięcie.

- Nie. - Shelley wzruszyła ramionami. - Nie miałam przecież nic do
powiedzenia. O co właściwie chodzi, Jeff?

-Widzisz... Zapewne słyszałaś o facecie nazwiskiem Harris... On skupuje ziemię w okolicy i raz czy dwa nagrałem mu dobry interes. Oczywiście sowicie mi to wynagrodził. Chyba dałem się złapać jak ryba na haczyk. On słyszał, że w północnym Queenslandzie można dużo zarobić na turystyce i dlatego tu się zjawił. Facet ma szalone pomysły i jest bardzo sprytny, ale... nie docenił Rafa. Wiesz, z Rafem wszyscy się liczą... W każdym razie, gdy Raf robił pieniądze, przed Harrisem raz po raz wyrastała ściana. Nie masz pojęcia, jak on Rafowi zazdrości! Chyba jeszcze bardziej niż ja... Wynajął łódkę, aby obserwować postępy prac na Angel, jednak nawet do głowy mi nie przyszło, że ośmieli się tam wylądować. Wyspa, jak wiesz, jest dobrze strzeżona.

- Rozumiem, że dyskutowałeś z Harrisem na ten temat. - Shelley obserwowała grę emocji na gładko wygolonej twarzy Jeffa.

- Spotykamy się od czasu do czasu - wyznał.

- Wypiliśmy kilka piw i wiesz, jak to bywa, gdy człowiek za dużo wypije... Mówi się różne rzeczy, o których później nawet się nie pamięta. Słyszałem plotkę, że na Angel będzie prowadzone dochodzenie... Podobno chodzi o sprawy dotyczące ochrony środowiska...

- Nic mi o tym nie wiadomo - powiedziała Shelley z nieporuszoną twarzą.

Jeff nie wydawał się przekonany.

- Przecież Mark ma tam swoje udziały. Skoro plotki dotarły do mnie, Mark z pewnością musi być lepiej poinformowany.

- A więc spytaj go o to - podsunęła Shelley.

- Właściwie powinieneś porozmawiać z Rafem...

- O, to zupełnie nie wchodzi w grę! - zaprotestował żywo. - Mam okropne przeczucie, że zostałem w całą tę sprawę wplątany. Oczywiście niczego nie zrobiłem z premedytacją, ale może coś niebacznie powiedziałem...

- Widzisz, Jeff, nie bardzo wiem, w czym mogłabym ci pomóc. Nie pojmuje nawet, o czym mówisz... Mogę tylko udzielić ci rady, abyś zebrał się na odwagę i porozmawiał z Rafem.

- Nie, Shelley, tego boję się najbardziej. Wyciągnęła rękę i położyła na jego dłoni.

- Wiem, że potrafisz to zrobić, Jeff. To najlepsze i najprostsze posunięcie.

- Może masz rację... - Jeff ujął jej dłoń i mocno uściskał. - Jesteś naprawdę porządną dziewczyną, Shelley.

Uśmiechnęła się serdecznie.

-Myślę, że życie cię nie oszczędzało, Jeff. Ale teraz, radzę ci, odłóż na bok rywalizację z Rafem i uwierz w siebie. Nie możesz obwiniać go za swoje porażki, ani też za jego sukcesy.

- Masz całkowitą rację - westchnął i puścił jej rękę. - Rozpierała mnie fałszywa próżność... Raf był dla mnie zawsze prawdziwym przyjacielem, a ja nigdy nie okazałem mu życzliwości.

- Obiecuj mi, że porozmawiasz z nim - nalegała Shelley i raz jeszcze uściskała mu dłoń, by dodać mu odwagi.

-Dobrze - rzekł stanowczo i posłał jej bardzo chłopięcy uśmiech. - Stygnie ci kawa - dodał i rozejrzał się w poszukiwaniu kelnera. Nagle z sykiem wciągnął powietrze. Wyglądał jak konspirator przyłapany na gorącym uczynku. Przy kasie stał Raf, a obok niego Carla i Daniella. -

Cholera! - Jeff wyglądał na całkiem zbitego z tropu. - Musieli siedzieć na patio.

- Kto? - Shelley podążyła za wzrokiem Jeffa i zaniemówiła z wrażenia. Oczy Rafa ciskały błyskawice.

-Raf nie wygląda na uszczęśliwionego - podjął Jeff - i Carla też nie...

-Za to Daniella ma wesołą minę... - szepnęła Shelley.

- Co za pech! Akurat w chwili, gdy zebrałem się na odwagę, by porozmawiać z Rafem, on patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby zamierzał mnie zabić.

-To tylko jego oczy... Światło się w nich odbija - podtrzymała go na duchu Shelley. - Musisz porozmawiać z Rafem. Wierzę w ciebie, Jeff.

- Dobrze - obiecał - ale muszę ci wyznać, że bardzo się denerwuję...

- To z powodu Harrisa?

-Och, nie teraz... Oni tu podchodzą... - Wstał i uśmiechnął się ujmująco. - Witam! Co za niespodzianka!

- Shelley, a co ty tu robisz? - spytała Daniella, a w oczach jej pojawił się złośliwy błysk.

- Po prostu piję kawę, Daniello - odparła Shelley z niezmaconym spokojem i posłała Carli zyczliwy uśmiech. - Cieszę się, że cię widzę, Carlo. Mam nadzieję, że niedługo zjemy razem lunch. Witaj, Raf.

- Przywiózłbym cię do miasta, gdybym wiedział, że się tu wybierasz - rzekł Raf uprzejmie. - Marko o niczym nie wspomniał.

- Raf - wtrącił niespodziewanie Jeff - próbowałem się z tobą skontaktować. Chciałbym zamienić kilka słów...

- Dziś jestem bardzo zajęty. - Raf potrząsnął głową. - Zadzwoń do ciebie. Może jutro?

- Doskonale! - Twarz Jeffa pojaśniała. - Właściwie dziś też nie mam za dużo czasu... - Zerknął na zegarek. - Mam jeszcze pewne spotkanie. - Poklepał Shelley po ręce. - Dziękuję ci za dobrą radę.

Shelley zdawała sobie sprawę, że Carla patrzy na nią zakłopotana. Istotnie, łatwo było dojść do fałszywych wniosków, ale ona nic na to nie mogła poradzić, czuła bowiem instynktownie, że Jeff Gant potrzebuje pomocy. Sama była dzieckiem z rozbitego domu i może lepiej niż inni potrafiła go zrozumieć...

Jeff na odchodnym położył rękę na ramieniu Carli i pocałował ją w policzek. Wkrótce potem Daniella zabrała Carłę po zakupy i Shelley została sama z Rafem.

- Nie mogłem wprost uwierzyć własnym oczom - rzekł Raf ostrym tonem. - Zastanawiałem się nawet, czy nie masz zamiaru go pocałować. Wydaje mi się, że zawracasz głowę zbyt wielu mężczyznom naraz. Luca już jest w tobie szaleńczo zakochany...

- Luca ma dobry gust - powiedziała Shelley i ostentacyjnie wyjęła z torebki kluczyki do samochodu.

- Odprowadzę cię, jeśli pozwolisz - rzekł Raf z przesadną uprzejmością.

- Będę niezmiernie zaszczyczona.

Gdy wyszli na ulicę, zauważyła, że przechodnie uśmiechają się do Rafa i pozdrawiają go życzliwie. Zupełnie jakby witali członka rodziny królewskiej, pomyślała.

Podeszła do samochodu i spytała bez ogródek:

- O co ci właściwie chodzi, Raf? Jesteś zazdrosny?

- Mam wrażenie, że Carla była.

- Nie ma po temu najmniejszych powodów - powiedziała stanowczo.

- Doprawdy nie wzbudzasz zaufania, Shelley - uśmiechnął się drwiąco. - Pragnąłbym cię jedynie ostrzec. Jeff ma wystarczająco dużo kłopotów i powinnaś, dla własnego dobra, zostawić go w spokoju. Jesteś piękną kobietą i podobasz się mężczyznom... Ale bardzo cię proszę, nie flirtuj z Jeffem.

- Niczego takiego nie robię! - Czyż mógł być tak naiwny? Przecież nie mógł naprawdę uwierzyć, że była zainteresowana Jeffem. - Ty i twoja kuzynka źle interpretujecie zwykłe gesty przyjaźni - dodała.

Wybuchnął krótkim, urywanym śmiechem.

- Przyjaźni! Gdy taka kobieta jak ty bierze mężczyznę za rękę, myśl o przyjaźni pryska jak bańka mydlana. Nie jestem naiwny, Shelley. Wyobraź sobie, że widziałem was na własne oczy, i próbuję jedynie cię ostrzec. Wszystko wskazuje na to, że Jeff jest zamieszany w sprawę motyli na Angel i niech nie łudzi się nadzieją, że ujdzie mu to na sucho. Zawsze zachowywałem się wobec niego jak przyjaciel, ale teraz robi sobie ze mnie wroga.

Na twarzy Shelley odmalowało się przerażenie. Wyciągnęła rękę i chwyciła Rafa za ramię.

- Proszę cię, Raf! Czy przypadkiem nie przesadzasz?

Ze złością odepchnął jej dłoń.

- A więc chcesz się za nim wstawiać? - spytał z niedowierzaniem. - Widzę, że tacy faceci jak Jeff łatwo zaskarbiają sobie względy kobiet. Ale powiem ci jedno: zachowujesz się niełojalnie! Rozumiem, że moje interesy mogą cię niewiele obchodzić, ale tu wchodzi w grę również

interesy i dobre imię twojego ojca. Ciekaw jestem, co on powie na twoje zachowanie.

- Nie mieszaj w to mojego ojca! Słyszysz? No, potępiaj mnie ile wlezie, proszę bardzo! W tym rzeczywiście jesteś mistrzem.

- Dziękuję, nie skorzystam z tej zachęty - powiedział i popatrzył na nią z wyraźnym obrzydzeniem.

-Dlaczego nie?! - wykrzyknęła, nie panując nad emocjami. - Jesteś tyranem, Raf. Od dzieciństwa wszyscy się przed tobą płaszczą i woda sodowa uderzyła ci do głowy. Odnoszę wrażenie, że również Jeff jest twoją ofiarą...

- Jeff? - przerwał jej z furją.

- Tak, Jeff i jego pokręcone życie! Od czasu do czasu popełnia błędy, ale co z tego? Wszyscy je robimy! Oczywiście wszyscy, prócz twojej świetlanej osoby! Ty jesteś rzecz jasna bez zarzutu! Biedny Jeff chce z tobą porozmawiać. Do licha, nie wiem, o czym, ale powinieneś go wysłuchać. - Westchnęła ciężko i dodała spokojniejszym głosem: - Wiesz, Raf, to prawdziwe nieszczęście mieć z tobą do czynienia.

Raf stał trochę z boku; częściowo osłaniając ją przed silnymi promieniami słońca. Teraz przysunął się do niej bliżej i odniosła wrażenie, jakby rozpostarła się nad nią jakaś szeroka, czarna peleryna. Odchyliła głowę do tyłu, ale nie mogła nigdzie uciec.

- Jeśli mnie dotkniesz, będę krzyczeć!

- A więc krzycz, może przekonasz kogoś o swoim nieszczęściu. - Położył rękę na jej szyi, a ona skuliła się jakby pod wpływem nagłego gorąca.

Jak on śmiał! W głowie miała chaos myśli i zbierała się, by dać odpór tej gwałtownej napaści, a jednak, gdy usta Rafa zbliżyły się do jej warg, poczuła dotknięcie tak delikatne, tak pieszczotliwe, że resztki jej obrony skruszały. Siłą powstrzymywała się, by nie oddać mu pocałunku. Nie mogła się poruszyć i wcale tego nie pragnęła. Miał nad nią nieograniczoną władzę. Władzę, której się nie lękała.

Odsunął się pierwszy i posłał jej drwiące spojrzenie.

- Trzeba przyznać, że istotnie jesteś w nieszczęśliwym położeniu - powiedział. - Nie możesz uciec, gdy cię całuję, i w dodatku wcale tego nie chcesz.

Prawda była zbyt oczywista, by jej zaprzeczać. Shelley bez słowa otworzyła samochód i wślizgnęła się za kierownicę.

Gdy jechała autostradą, łzy przesłaniały jej oczy. Jeff Gant nic dla niej nie znaczył, a jednak stał się przyczyną tej okropnej kłótni. Raf miał niepodważalne prawo być na niego zły. Jeff prawdopodobnie był winny, a jednak... a jednak stanęła w jego obronie jak lwica broniąca młodych. Do licha, co się z nią działo? Zachowywała się nienormalnie...

ROZDZIAŁ ÓSMY

Nazajutrz wieczorem zadzwonił Raf. Mark odebrał telefon i długo słuchał w milczeniu. Potem wrócił do salonu z twarzą naznaczoną zmartwieniem.

- Raf odbył z Jeffem rozmowę - powiedział do Shelley i ciężko opadł na fotel. Wyglądał coraz gorzej, twarz miał wymizerowaną, twierdził jednak, że czuje się dobrze. - Sprawa wygląda gorzej, niż sądziłaś

- podjął. - To Jeff wpadł na ten nieszczęsny pomysł sprowadzenia na wyspę motyli. Twierdzi, że uważał to za wspaniały dowcip, ale przypuszczam, że jego działanie było celowe. W czasie pobytu na Przylądku poznał tego naukowca, Guntera, o którym ci chyba wspominałem... Gunter napotkał nowe gatunki motyli i był właśnie pod wrażeniem swego odkrycia. Jeffowi jeszcze wówczas nic nie świtało w głowie, ale przypomniał sobie o motylach, gdy wszedł w bliższe konszachty z Harrisem...

- Och, tato! - szepnęła Shelley. Zaczynała bać się tego, co za chwilę usłyszy.

- Wiem, rozumiem twój niepokój - rzekł ojciec - ale niestety prawda jest okrutna. Harris chciał przeszkodzić pracom na Angel i wówczas Jeff napomknął, zdaje się po pijanemu, o tych motylach. Jeff twierdzi, że na tym jego rola w całej sprawie się skończyła. Powiedział Rafowi, że pożałował swych słów, gdy tylko wytrzeźwiał, ale było już za późno, bo Harris postanowił wykorzystać te cenne, z jego punktu widzenia, informacje. Na jakiś czas zniknął i nic się nie działo, a potem, gdy wrócił,

traktował Jeffa po staremu. To uspiło czujność Jeffa. Dopiero gdy usłyszał o planowanej inspekcji na Angel, zaczął się martwić nie na żarty. Poszedł do Harrisa po wyjaśnienia, łudząc się nadzieją, że ten nie ma z tym nic wspólnego, ale Harris przyznał otwarcie, że zapłacił Gunterowi za kilka motyli i razem z nim przemycili je na wyspę. Gunter oczywiście wiedział, że na wyspie rośnie lantana. I tak Jeff wpadł w pułapkę. Nie mógł nikomu nic powiedzieć, bo w końcu sam wymyślił ten plan...

- Jak na to zareagował Raf? - spytała Shelley.

- Przede wszystkim jest wściekły. Jeff sądził, że spowiedź przed Rafem załatwi całą sprawę. Ale Raf nalega, aby Jeff opowiedział tę historię władzom... Oczywiście nie ma wątpliwości, że zostaniemy oczyszczeni z zarzutów, ale i tak będzie nas to sporo kosztować, a jeśli Harris podważy zeznania Jeffa i zdecyduje się na walkę przed sądem, będzie to jeszcze bardziej kosztowne. Okazuje się, że Gunter zniknął. Od dłuższego czasu nikt go nie widział. On czuje się w dżungli jak u siebie w domu i nie sądzę, by łatwo było go odnaleźć.

- Sądzisz, że zeznanie Jeffa nie wystarczy?

- No wiesz, Jeff nie ma opinii człowieka godnego zaufania...

-Ale przecież nie mógł sobie tego wymyślić. - Shelley sprawiała wrażenie, jakby przekonywała samą siebie.

-Potrzeba jednak dowodu, moja droga. Dochodzenie zabierze sporo czasu. A czas to pieniądz. Potem przyjdzie monsun, a na Boże Narodzenie przepowiadają cyklon. Sprawy nie przedstawiają się różowo... Niech licho porwie Jeffa i jego przekłętą zazdrość! Mam nadzieję, że tym razem dostał za swoje. -

- Myślę, że Jeff wstydzi się tego, co zrobił - powiedziała zamyślona.

- Mam wrażenie, że bardziej boi się tego, co jeszcze może się zdarzyć. Widzisz, jeśli się okaże, że wziął od Harrisa pieniądze, znajdzie się naprawdę w nieciekawym położeniu. Śledztwo na pewno będzie drobiazgowe... Poza tym cała sprawa odbije się szerokim echem w prasie, i to nie tylko lokalnej... Aha, Raf chciałby ci podziękować, że skłoniłaś Jeffa do mówienia.

- Nie chcę żadnych podziękowań - zaprotestowała szybko.

- Kolacja nie zaszkodzi - Mark uśmiechnął się po raz pierwszy. - Teraz jest doskonała pora na krótki wypad do Port Douglas. Moglibyśmy zatrzymać się na kilka dni w hotelu „Mirage”. To przepiękny ośrodek turystyczny. Na pewno ci się spodoba. Często grywaliśmy tam z Rafem w golfa.

- Mamy jeszcze mnóstwo czasu, tato - odparła Shelley bez specjalnego entuzjazmu.

Carla umówiła się z Shelley na lunch. Biedna Carla, pomyślała Shelley, pewnie sądzi, że Jeff się mną interesuje. Muszę jej to jakoś wyperswadować.

Na spotkanie przysłała również Daniella. Wyglądała jak zwykle sztywnie w kremowej, jedwabnej sukni i pięknej złotej biżuterii. Zachowywała się niezwykle uprzejmie, ale Shelley przez cały czas odnosiła wrażenie, że była to z jej strony wyłącznie gra.

Siedziały w luksusowej restauracji, pięknie położonej na skale, skąd rozciągał się urzekający widok na morze. Jedzenie i obsługa były bez zarzutu, Daniella jednak przez cały czas grymasiła.

- Nie zwracaj na nią uwagi, Shelley - powiedziała Carla z dobrotliwym uśmiechem. - Danny ma już takie zwyczaje.

- Wcale nie! - zaperzyła się Daniella.

- Och, kochanie, wszyscy już do tego przywykliśmy. - W ciemnych, smutnych oczach Carli pojawił się ostry błysk.

- Tu jest przepięknie - odezwała się Shelley, zmieniając taktownie temat.

- Będzie ci brakować tych widoków, gdy wrócisz do domu - powiedziała Daniella trochę zgryźliwym tonem.

- Jak długo zamierzasz z nami zostać? - podjęła Carla z uśmiechem. - Mogłybyśmy razem zwiedzić okolice.

- Jeszcze nie wiem... Właściwie mam mnóstwo czasu. Jak wicie, maluję i mogę to robić wszędzie, a tutaj wychodzi mi to wyjątkowo dobrze. Państwu Jamiesonom bardzo podobały się moje prace...

- Tak, słyszałam! - wtrąciła żywo Carla. - Podobno jesteś bardzo utalentowana.

- Shelley, która nosi nazwisko Stuart, ma specjalne względy - rzekła Daniella uszczypliwie.

- Nie jestem jeszcze pewna, kiedy wyjadę - zwróciła się Shelley do Carli, jakby ignorując zaczepkę Danielli. - Cudownie czuję się z ojcem i trudno by mi było teraz się z nim rozstawać.

- Ale przecież w Nowej Zelandii zostawiłaś matkę i braci - powiedziała Daniella z naciskiem. Sprawiała wrażenie coraz bardziej zaniepokojonej i z trudem przychodziło jej udawać uprzejmość.

- Oni bardzo się kochają i myślę, że całkiem nieźle radzą sobie beze mnie - odrzekła Shelley cierpko.

- No, tak... - Daniella nie była zadowolona z odpowiedzi, postanowiła więc poruszyć następny niezręczny temat. - Ciekawa jestem, o czym rozmawiałaś w kawiarni z Jeffem Gantem?

- Chciał, bym mu poradziła w pewnej sprawie - rzekła Shelley z niezmaconym spokojem, choć w duchu zaczynała się gotować ze złości.

- Poradziła? Przecież on prawie cię nie zna!

- Danny, daj spokój! - wtrąciła stanowczo Carla.

- Jeff nie zna wielu ludzi, z którymi mógłby szczerze porozmawiać. Od razu poznał, że Shelley jest osobą godną zaufania.

- Mógł przecież porozmawiać z tobą - nie ustępowała Daniella. - W końcu byliście zaręczeni...

- Być może go zawiodłam... - powiedziała Carla cicho.

- Och, moja droga, zawsze masz skłonności do obciążania się winą. Zupełnie nie pojmuję, co takiego widzisz w tym Jeffie Gancie. Owszem, przystojny chłopak, ale nie jest dla ciebie odpowiednią partią.

- Proszę, Daniello, daj spokój! - Carla położyła łagodnie dłoń na rękę swojej kuzynki, ale Daniella nie miała zamiaru ustąpić.

- Doskonale wiesz, że to prawda - ciągnęła. - Dyskutowaliśmy o tym z Rafem.

- Wspominałaś już o tym, Danny - powiedziała Carla zadziwiająco ostrym i stanowczym tonem - ale to po prostu nie jest prawda. - Spojrzała kuzynce prosto w oczy i dodała: - Raf nigdy nie rozmawiał z tobą o moich sprawach. Nigdy.

Shelley pomyślała, że Carla musiała rozmawiać o tym z Rafem i dlatego przemawiała teraz z taką pewnością siebie. Być może Daniella kłamała również w innych sprawach?

- Och, moja droga - powiedziała Daniella - nie chciałam ci zrobić przykrości. Po prostu martwimy się o ciebie. Dlaczego nie pojedziesz ze mną do Florencji? Zawsze ci się tam podobało. Znajdę ci odpowiedniego kandydata...

- Dziękuję bardzo, Danny - przerwała jej Carla.

- Tu mi jest dobrze.

Daniella zrezygnowała nagle z deseru i odeszła pod pretekstem poprawienia makijażu.

- Zamów mi kawę - rzuciła Carli przez ramię. - Nasza mała księżniczka! - westchnęła Carla.

- Widzisz, Danny jest bardzo rozpieszczona. Czuję się w obowiązku przeprosić cię za jej zachowanie, Shelley.

- Nie ma sprawy. - Shelley machnęła ręką. — Nie martw się. Spędziłam naprawdę urocze popołudnie. Dziękuję ci za zaproszenie. Chciałabym tylko wyjaśnić pewną sprawę... Chodzi o Jeffa... On wcale nie jest mną zainteresowany, ani ja nim. Wpakował się w kłopoty i próbowałam udzielić mu rady. To wszystko. Jestem pewna, że Jeff nadal cię kocha.

-Możliwe... - powiedziała Carla zduszonym głosem. - Ale stale mi powtarza, że do mnie nie pasuje. Mój ojciec zaproponował mu dobrą posesję w jednym ze swoich hoteli... ale Jeff odmówił. Chce być całkiem niezależny, boi się jakichkolwiek zobowiązań. Czy możesz mi powiedzieć, jakiego rodzaju kłopoty ma teraz Jeff?

- Niestety, Carlo - westchnęła Shelley z głębi serca.

- Te sprawy dotyczą Rafa i jego interesów, i sądzę, że woli utrzymać je w tajemnicy. Opowiem ci wszystko, gdy tylko będę mogła. Obiecuję.

Carla wyglądała na rozczarowaną.

- Przez całe życie - ciągnęła w zamyśleniu - nieszczęściem Jeffa była rywalizacja z Rafem... To go niszczy. Być może źródło problemów tkwi w jego nieszczęśliwym dzieciństwie. To dziadek Pietro wyciągnął do niego pomocną dłoń... Załatwił mu szkołę z internatem i w ten sposób Jeff mógł zmienić środowisko. Widzisz, mam wrażenie, że Jeff bardzo chciałby nas kochać, ale nie potrafi uporać się z samym sobą. Znam dobre i złe strony jego charakteru i, to może wydawać się dziwne, nadal go Kocham...

- Tak już bywa - wtrąciła Shelley filozoficznie.

- Nie kocha się na rozkaz. Jeff zapewne cierpi na kompleks niższości i chyba potrzebuje osoby, której mógłby być naprawdę potrzebny.

- Pewnie masz rację. - Carla nie odrywała swych wielkich oczu od twarzy Shelley. - Powinnam mu była powiedzieć, że bardzo go potrzebuję... Widzisz, po zerwaniu zaręczyn stałam się bardzo apatyczna, bardzo przygnębiona... Straciłam chyba wiarę w sens życia. - Zamyśliła się na dłuższą chwilę, a potem dodała z ożywieniem: - Znam cię tak krótko, Shelley, a już stałaś mi się osobą bardzo bliską. Mam nadzieję, że zostaniesz z nami dłużej.

- Uśmiechnęła się porozumiewawczo. - Danny wkrótce wyjeżdża do Włoch.

Shelley podchwyciła sposobność zmiany tematu rozmowy.

- Słyszałam, że mają się z Rafem zaręczyć - powiedziała.

- Zaręczyć? - Carla zrobiła zdziwioną minę. - To dla mnie niespodzianka.

- Daniella mówiła o tym z wielkim przekonaniem.

- Co ty powiesz? - W oczach Carli pojawiło się zakłopotanie. - Wokół Rafa zawsze kręci się wiele kobiet, ale żeby wybrał akurat Danny... To całkiem nieprawdopodobne. Wszyscy wiemy, że Danny jest w nim zadurzona, od czasu gdy wyrosła z pieluch, ale nie sądzę, by Raf żywił do niej coś więcej poza uczuciami rodzinnymi. On żadnej kobiecie nie oddał jeszcze serca... Po stracie rodziców wyrósł na bardzo samodzielnego człowieka... Czasem sprawia wrażenie, jakby w ogóle nikogo nie potrzebował. Owszem, miał romanse, ale to nigdy nie było nic poważnego. Mam wrażenie, że prawdziwa miłość go zaskoczy i wybuchnie w nim jak wulkan. Z pewnością będzie z nią walczył. Taki już jest. Jednak kobieta, która potrafi go w sobie rozkochać, zdobędzie prawdziwego mężczyznę. Mama zawsze powtarza, że Raf został stworzony na bohatera. No cóż, być może pragnie się już ożenić... Możliwe, że wybrałby kogoś z rodziny, ale żeby akurat Danny... Bardzo w to wątpię.

- Myślałam, że właśnie tego związku pragnęłaby rodzina - szepnęła Shelley czując, że rumieni się ze wstydu. W zbyt oczywisty sposób próbowała wyciągnąć od Carli informacje.

-Ależ wręcz przeciwnie - odparła Carla konspiracyjnym tonem, oglądając się, czy Daniella nie wraca. - Widzisz, Danny jest bardzo atrakcyjną kobietą, potrafi fascynować mężczyzn, ale doskonale wiemy, jaki trudny ma charakter. Chyba sama zauważyłaś...

Shelley w głębi serca musiała jej przyznać rację.

Gdy wróciła do domu, ojciec siedział na werandzie i rozmawiał z Rafem. Na jego widok jak zwykle serce Shelley забиło niespokojniej.

- Cieszę się, że już jesteś, kochanie - powitał ją ojciec. - Jak spędziłaś dzień?

-Świetnie - odparła i pocałowała go w czoło.

- Witaj, Raf. - Proste słowa, a ile wysiłku musiała włożyć, by nadać swemu głosowi naturalne brzmienie.

- Masz jakieś wiadomości? - dodała po chwili.

- Chodzi ci o Angel? - rzucił szorstko.

- Raf jest zdenerwowany, kochanie - usprawiedliwił go Mark.

- Mam nadzieję, że Jeff zachował się w porządku

- podjęła, siadając na krześle obok ojca.

- Do diabła z nim! - wybuchnął Raf nieoczekiwanie. - Mam go po dziurki w nosie.

- Bądź bardziej wyrozumiały - odezwał się Mark łagodnie. - Spowodował mnóstwo kłopotów, ale teraz poszedł już po rozum do głowy.

- Dziękuję ci, Shelley, że udzieliłaś mu dobrej rady - powiedział Raf dość chłodnym tonem. - Jeff zrelacjonował mi wasze spotkanie. Teraz czeka go przesłuchanie w departamencie ochrony środowiska. Dave Nelson zrobił mu uprzejmość i wyznaczył możliwie szybki termin. Prawdopodobnie przesłuchają Jeffa już w środę. Nie mam wątpliwości, że sprawa się wyjaśni na naszą korzyść, ale opóźnienia prac i tak spowodują straty finansowe.

- Czy nie można od razu oskarżyć Harrisa? - zapytała Shelley.

- Zobaczymy, co się da zrobić, jak Nelson przedstawi swój raport. W każdym razie jestem pewien, że obedrze Jeffa ze skóry. Jeff zgrywa twardziela, ale naprawdę trzęsie się jak osika. Harrisowi też nie będzie lekko się bronić. Okazało się, że jeden z farmerów z Marine Parks widział,

że Harris kręci się wokół wyspy, a ktoś inny widział Guntera w okolicy. Cała afera wcześniej czy później wyjdzie na jaw, a wówczas będzie lepiej dla Jeffa, jeśli stąd wyjedzie.

- Biedny Jeff - westchnęła współczująco Shelley.

- Powinien wziąć się w garść i trzymać fason. Nie okazuj mu współczucia, Shelley. - Popatrzył jej twardo w oczy. - Ale dajmy już spokój Jeffowi. Wpadłem właściwie po to, by zaprosić cię jutro na kolację. Przenocujesz u mnie. Marko musi zrobić badania.

- Jakie badania, tato? - Shelley z niepokojem spojrzała na ojca.

- Zapomniałem ci o tym powiedzieć, kochanie

- odparł z uśmiechem. - Zwykle badania krwi. Gd czasu do czasu muszę się im poddawać. Będzie lepiej, jeśli zostanę na noc w szpitalu.

- Ale to nic poważnego, tato? - Shelley z trudnością ukrywała przerażenie.

- Nie martw się, kochanie - powiedział uspokajającym tonem. - Zwykle okresowe badania. Pojutrze rano możesz po mnie przyjechać.

- Mówiłeś, że jesteś już prawie zdrowy...

- Bo to prawda - oświadczył stanowczo. - Będę spokojny, jeśli przenocujesz u Rafa. Wolałbym, żebyś nie zostawała tu sama.

Shelley popatrzyła podejrzliwie na Rafa, ale jego przystojna twarz nie zdradzała żadnych emocji.

- Pójdę już - oświadczył nagle. - Jutro odwiozę cię do szpitala, Marko.

- To miło z twojej strony, Raf, ale sama dam sobie radę - powiedziała Shelley wstając.

-I tak muszę pojechać do miasta. Nie ma potrzeby, żebyś się fatygowała, ale jeśli chcesz, możemy pojechać razem.

Raf pożegnał się z Markiem i skierował do samochodu. Shelley pospieszyła za nim.

- Raf, o co chodzi? Proszę cię, powiedz mi prawdę.

- Chwyciła go za ramię.

- Nie interesowałaś się ojcem przez szesnaście lat, a teraz nagle taka rozpacz? - Popatrzył na nią zimno.

-Mój Boże, Raf, naprawdę myślisz, że gram komedię?

- Jeśli tak, to muszę przyznać, że jesteś znakomitą aktorką - powiedział drwiąco. - Chciałbym ci wierzyć, Shelley. Naprawdę chciałbym...

- Przypomnij sobie, że już raz się pomyliłeś. W sprawie Jeffa... Twierdziłeś, że go podrywam, co było śmieszne.

- Sugerowałem tylko, że powinnaś być ostrożna z mężczyznami. Dla takich kobiet jak ty stanowimy łatwy łup.

- Do licha, cieszy cię, gdy znajdziesz jakikolwiek pretekst, by mnie obwiniać. Chcesz, abym wyjechała.

- Nonsens i dobrze o tym wiesz - zaprzeczył gwałtownie.

- Doprawdy?

- Nie zaczynaj znów, Shelley - ostrzegł ją groźnym tonem. - Marko może nas obserwować.

- Więc nie denerwuj go, zńęcaj się lepiej nade mną!

- Przestań! - zacisnął swe białe zęby.

- Nie mam zamiaru jutro u ciebie nocować - powiedziała gwałtownie. - Zgodziłam się tylko przy ojcu.

- Przenocujesz - rzekł z naciskiem. - Przyjadę po ciebie.

- Niepotrzebnie będziesz się fatygować. - Popatrzyła mu prosto w twarz. - Nie panuję nad tym, co się między nami dzieje. Trzeba położyć temu kres. Poza tym masz towarzystwo Danny...

- Czy to objaw zazdrości?

- Porzuć słodkie nadzieje. Życzę Danielli dużo szczęścia na nowej drodze życia.

- Co ty znowu wymyśliłaś?

- Powiedziała mi, że bierzecie ślub...

- Nie bądź idiotką! - Odwrócił się w jej stronę. Twarz jego wyrażała irytację.

-To nie jest odpowiedź - powiedziała głosem drżącym z emocji.

Przyciągnął ją do siebie raptownie i, choć się opierała, pocałował tak namiętnie, że świat zawirował jej przed oczami.

- Takiej odpowiedzi chciałaś, prawda? - wykrztusił chrapliwie.

-Nieprawda! - Wytarła ręką usta z wyraźnym obrzydzeniem.

- Kłamiesz, moja droga. I powtarzam, ci, zachowuj się ostrożniej. - Otworzył drzwi samochodu i usiadł za kierownicą. - Przyjeżdżam po ciebie jutro. Jasne?

Shelley wsunęła głowę do środka. Oczy jej rzucały iskry, a wargi drżały.

- Nie przyjeżdżaj! Nie chcę być napastowana przez takich facetów jak ty!

- Twoje fanaberie mnie nie obchodzą - odparował poblady ze złości.

- Nie dostarczysz Markowi nowego powodu do zmartwień.

Shelley błagalnie załamała ręce. -Powiedziałbyś mi, gdyby ojciec był poważnie chory, prawda?

- Mam tego naprawdę dość. Lepiej już idź, Shelley. -Nigdy bym ci nie wybaczyła, gdybyś mnie okłamał...

Uniósł swą ciemną głowę.

- Co właściwie chcesz usłyszeć? Wiesz, że twój ojciec cierpi na przewlekłą tropikalną chorobę od wielu już lat. Próbowałem wyciągnąć więcej informacji od doktora Rigby'ego, ale on ich niechętnie udziela. Marko od lat czuje się tak samo. Przez wszystkie te lata, gdy ciebie tu nie było.

-Nienawidzisz mnie, prawda? - Potarła bolące czoło opuszkami palców. - Nienawidzisz mnie z powodu ojca i nienawidzisz mnie również z własnego powodu... Carla miała rację. Walczyłbyś z uczuciem do kobiety. Szczególnie do takiej, której byś nie ufał.

- Odjeżdżam, Shelley - powiedział stanowczo i włączył silnik.

Odsunęła się od samochodu.

- Rano pojedę z tobą do szpitala, a potem wracam do domu - rzuciła na pożegnanie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nazajutrz w szpitalu Shelley postanowiła porozmawiać z doktorem Rigby.

- Nie ukrywasz niczego przede mną, prawda Raf? - spytała, widząc wyraźne napięcie na jego twarzy.

- Pytałaś mnie już o to, Shelley - odparł sarkastycznie. - Oczywiście jako córka Marka masz absolutne prawo porozmawiać z doktorem. Może powie ci coś więcej.

Raf celowo został na korytarzu, a Shelley udała się do gabinetu doktora Rigby.

- I jak się pani czuje? Mam nadzieję, że już nie ma śladu po ugryzieniu pająka? - Uśmiechnął się przyjaźnie i wskazał jej krzesło po drugiej stronie biurka.

- Czuję się świetnie, doktorze. Chciałabym jednak porozmawiać o moim ojcu...

Doktor Rigby rozsiadł się wygodnie w obrotowym fotelu.

- Jest pani dla niego najlepszym lekarstwem - powiedział ciepło. - Nigdy nie widziałem, żeby był tak szczęśliwy.

- Ale co z jego zdrowiem, doktorze? Bardzo się niepokoję...

Doktor sprawdził coś w notatkach, a potem uniósł głowę.

- Oczywiście, moja droga... Doskonale panią rozumiem. Kocha pani ojca i to zupełnie naturalne, że się pani martwi. Ojciec pani cierpi na mało znaną przewlekłą chorobę tropikalną. Źródłem zakażenia prawdopodobnie było ukąszenie komara, ale nie jest to malaria. Ojciec ma predyspozycje

do anemii i zaburzeń czynności wątroby. Objawy te jednak poddają się leczeniu. Od czasu do czasu miewa napadowe gorączki i reumatyczne bóle stawów. Choroba ta ma wyraźne, ostatnio coraz dłuższe, okresy remisji, mamy więc powody do optymizmu. Kiedyś bałem się o stan jego serca, ale Mark bardzo dba o siebie. Nie ma nadwagi ani problemów z ciśnieniem. Doprawdy to wszystko, co mogę pani powiedzieć. Mark jest bardzo posłusznym pacjentem i cały czas jest pod naszą kontrolą. Odnoszę wrażenie, że najgorsze już poza nami.

- Ale czy ta choroba skróci ojcu życie? - spytała Shelley głosem pełnym napięcia.

Doktor Rigby popatrzył na nią z powagą.

- Możliwe... Widzi pani, wszystko w gruncie rzeczy pozostaje w rękach Boga. Nie zdawała sobie pani sprawy ze stanu zdrowia swego ojca?

Potrząsnęła głową.

- Dowiedziałam się dopiero, gdy tu przyjechałam. Czy mogłabym coś dla niego zrobić, doktorze?

- Radzę nie robić wokół tej sprawy wiele szumu i przede wszystkim nie okazywać ojcu zdenerwowania.

Shelley wyszła z gabinetu wstrząśnięta. -No i co? - spytał Raf. Na jego przystojnej twarzy malowało się dziś przygnębienie.

- Chodźmy! - powiedziała gorączkowo. - Wyjdźmy stąd.

Teren wokół szpitala porastały wspaniale kwitnące krzewy poinsecji. Cały świat zdawał się pomalowany na różowo. Raf pociągnął ją w cień.

- Widzę, że jesteś zdenerwowana - powiedział.

- Czego się dowiedziałas?

Oczy przesłaniały jej łzy.

- Niewiele więcej, niż wiemy... Zapytałam go, czy ta choroba skróci ojcu życie, i... i jego odpowiedź brzmiała „być może”, co w języku lekarzy oznacza „tak”. Och, Raf...

- Z tym trudno się pogodzić, Shelley, ale przecież wiedziałaś...

- Nic nie wiedziałam! Och, Raf, tak bardzo się boję... Gdybym wiedziała, przecież bym natychmiast przyjechała.

Popatrzył na nią ironicznie.

- A więc dlaczego tego nie zrobiłaś?

- Nie wierzysz mi... Nigdy mi nie uwierzysz...

- Ogarnęła ją bezradność i frustracja.

- Ojciec przecież pisał ci o swoim stanie zdrowia...

- Raf, dajmy temu spokój - powiedziała ze smutkiem. - Jestem tu teraz i bardzo się niepokoję.

- Postaraj się, by Marko tego nie zauważył. Musisz zachować optymizm.

Gdy wsiedli do samochodu, odezwał się znów:

- Mam w mieście kilka spraw do załatwienia. Odwiozę cię do centrum i umówimy się pod „Mila-no” za godzinę, zgoda?

- Dobrze. - Zamrugnęła powiekami, by powstrzymać łzy.

Raf wysadził Shelley w śródmieściu. Przez chwilę bez celu pokręciła się po sklepach, a potem weszła do „Milano”, by wypić kawę. Och, jakie to straszne, że przez tyle lat była oszukiwana... Czuła wewnętrznie, że jej matka również nie czytała listów od ojca. Prawdopodobnie niszczyła je, nie otwierając kopert. Ba, matka musiała ciężko przeżywać rozpad swego pierwszego małżeństwa... Niemniej jednak fakt, że matka ją oszukiwała, stał się przyczyną obecnego konfliktu z Rafem. Ten konflikt, wydawało

się, z dnia na dzień narastał. Nie mogła jednak wyznać Rafowi prawdy. Czuła, że w ten sposób zdradziłaby swą matkę. W gruncie rzeczy pragnęła, by Raf zaakceptował ją taką, jaka jest teraz... Czyż nie okazała ojcu wielkiej miłości? A może... może Raf podświadomie chciał ją odrzucić? Może bał się miłości, utraty kontroli nad sobą i swoim życiem? Taki mężczyzna jak Raf mógłby się znienawidzić za to, że dał się zawładnąć uczuciu...

Z ciężkim sercem usiadła przy stoliku na patio i zamówiła kawę oraz kawałek ciasta. Właściwie na nic nie miała ochoty, pragnęła jedynie zabić czas. Patio, otoczone pergolą porośniętą kwitnącą na różowo bugenwillą, wyglądało przepięknie. Woda cicho szemrała w fontannie, a przy sąsiednim stoliku dziewczyna o oryginalnej wschodniej urodzie pochylała się czule ku młodemu mężczyźnie. Na jego twarzy malował się zachwyt. Jakież to byłby wspaniały temat do obrazu, pomyślała Shelley. Zaloty w słońcu... Bardzo liryczna scena.

Właśnie kelner postawił przed nią kawę, gdy w drzwiach prowadzących na dziedziniec pojawiła się Carla w towarzystwie Jeffa. Carla, zauważywszy Shelley, z uśmiechem na ustach podeszła do jej stolika.

- Proszę, usiądźcie - powiedziała Shelley, wskazując ręką krzesła.

Carla wyglądała na wyraźnie ożywioną, w jej oczach malowało się zadowolenie. Usiadła na krześle, które podsunął jej Jeff, i rzuciła wesołym tonem:

- Co cię sprowadza do miasta, Shelley?

- Przywiozłam tatę na badania do szpitala - powiedziała zasmucona.

Carla od razu sposepniała.

- Ale z Markiem wszystko w porządku, prawda, Shelley? - spytała cichym głosem.

- Nie można się niczego konkretnego dowiedzieć.

- Tacy właśnie są lekarze - wtrącił Jeff. - Uważają, że zwykły człowiek niczego nie zrozumie. Mark przechodzi te badania od lat. Nie powinnaś się zamartwiać, Shelley. Doktor Rigby to dobry lekarz.

- Oczywiście. - Carla delikatnie wzięła Shelley za rękę. - Trzeba być dobrej myśli. Uważam, że twój ojciec ostatnio świetnie wygląda. Bardzo się cieszy, że jesteś razem z nim.

- Ja też jestem bardzo szczęśliwa. Ty również, Carlo, wyglądasz cudownie...

Radosną twarz Carli pokrył mocny rumieniec.

- Postanowiliśmy z Jeffem, że będziemy razem. Obydwoje się wzajemnie potrzebujemy.

- Zawsze tak było! - Jeff przysunął się do Carli i pocałował ją w policzek. - Nikomu jeszcze nic nie powiedzieliśmy, Shelley. Dowiadujesz się pierwsza.

- Życzę wam dużo szczęścia.

- Dziękuję ci, Shelley. - Twarz Carli jaśniała radością. - Wkrótce powiemy o tym rodzinie. Papa być może nie będzie zachwycony, ale myślę, że da Jeffowi drugą szansę.

- Ojciec Carli kiedyś zaoferował mi pracę w Cairns - wyjaśnił Jeff. - Jeśli ponowi propozycję, przyjmę ją. Doszliśmy z Carłą do wspólnego wniosku, że będzie nam lepiej w nowym miejscu.

- Podzielim waszą radość - powiedziała Shelley. - Kiedy zamierzacie się pobrać?

- Nie będziemy długo czekać - odparł Jeff. - Straciliśmy już mnóstwo czasu. - I dodał ze skruchą w głosie: - Poza tym spaliłem tu za sobą mosty...

- Jeffowi chodzi o tę sprawę z wyspą - pospieszyła Carla z wyjaśnieniem.

- Zrobiłeś wszystko, co mogłeś, Jeff? - spytała Shelley.

-Tak. Opowiedziałem wszystko tym ludziom w departamencie. Wszystko o swojej głupocie. Mimo że nic konkretnego nie zrobiłem, czuję wyrzuty sumienia. Mam wrażenie, że Raf jest na mnie wściekły, tym razem naprawdę. Ciekaw jestem, jak zareaguje, gdy się dowie, że pogodziliśmy się z Carłą...

- Na pewno będzie szczęśliwy, gdy dowie się, że ja jestem szczęśliwa - powiedziała Carla. - Kocham cię, Jeff, i zobaczysz, że nasze małżeństwo będzie udane.

Kwadrans później Shelley opuściła Jeffa i Carłę - zapatrzonych w siebie i szczęśliwych - i wyszła na ulicę.

- Shelley! - Jeff wybiegł za nią. - Zapomniałaś okularów!

- Och, dziękuję. - Shelley wyciągnęła rękę.

- A ja dziękuję ci za pomoc - powiedział Jeff i pocałował ją w policzek. - Carla opowiedziała mi o waszej rozmowie. Zobaczysz, tym razem mi się uda. Aha, na razie nie mów nic nikomu. Chciałbym najpierw porozmawiać z ojcem Carli.

- Dobrze, Jeff. Lepiej już pójde. Raf powinien tu za chwilę przyjechać.

- Czeka już po drugiej stronie ulicy. - Jeff zrobił kwaśną minę. - Trzymaj się, Shelley. Będziemy w kontakcie.

Shelley wcisnęła okulary na nos i przeszła na drugą stronę ulicy. Raf stał na chodniku i otwierał dla niej drzwi od strony pasażera. Twarz miał obojętną, ale w jego oczach dostrzegła znajome błyski.

Pewnie podejrzewa, że byłam z Jeffem umówiona, pomyślała z irytacją. Do licha, co to ma za znaczenie? I tak potępia mnie, cokolwiek bym zrobiła.

Jechali przez miasto w milczeniu i dopiero na autostradzie Raf odezwał się:

- Nie powinnaś się mieszać w sprawy Jeffa. Mówiłem ci już, żebyś zostawiła go w spokoju.

Roześmiała się nerwowo.

- Nie mogę uwierzyć, że to cię tak niepokoi. Wyobraź sobie, że Jeff był z Carlą na kawie. Spotkałam ich przypadkiem.

- Obiecuj mi, że zostawisz ich w świętym spokoju.

- Bóg wie, dlaczego miałabym ci coś obiecywać! - zawołała wzburzona. - Podchodzisz do mnie nieufnie i dostrzegasz we mnie wyłącznie wady.

- Ależ wprost przeciwnie! - Popatrzył na nią swymi błyszczącymi oczami. - Przecież dostrzegam, że jesteś piękna, inteligentna i uzdolniona. Świecisz jasnym światłem. Mógłbym patrzeć na ciebie cały dzień. Jednego, czego nie rozumiem, to motywów twojego postępowania.

- Po prostu nie chcesz zrozumieć. - Shelley machnęła ręką ze zniecierpliwieniem. - Pewnego dnia jednak zrozumiesz... Wówczas będę już daleko stąd... Wyobraź sobie, że mam wyrzuty sumienia, że ojciec był sam przez tyle lat. Moja matka była bardzo rozżalona... W każdym razie

jestem tu teraz, doskonale się z ojcem rozumiemy, i nie mam zamiaru stale rozdrapywać zabliznionych ran.

- Muszę przyznać, że dobrze się Markiem opiekujesz...

-I zastanawiasz się, dlaczego? - Shelley potrząsnęła głową. Twarz miała ściągniętą z bólu. - Pragniesz mnie, Raf, i jednocześnie wstydzisz się tego, ponieważ mną pogardzasz. Dlatego właśnie to wszystko jest dla ciebie takie trudne. Myślisz, że przyjechałam do ojca tylko po to, by go oskubać z pieniędzy. Niech cię lichy porwie, Raf! Już nie mam siły z tobą walczyć. Zostaw mnie samą.

- Ale nie dziś wieczór - powiedział stanowczo. - Jeśli moje towarzystwo jest ci niemiłe, będę ci schodził z drogi.

- Przykro mi, ale również nie mam ochoty na towarzystwo Danielli. Powiedziała mi, że jesteście kochankami. To po prostu okropne, że całowałaś mnie, podczas gdy...

- No tak! Więc w dodatku uważasz mnie za kompletnego drania! Rozmawiałem z Daniellą i ona zaprzecza, by coś takiego kiedykolwiek powiedziała.

- I oczywiście jej wierzysz. Daniella, rzecz jasna, zasługuje na twoje zaufanie, prawda?

- Nie powiedziałem, że jej wierzę. - W głosie Rafa słychać było cień wrogości. - Przyłapałem Danny kilka razy na kłamstwie. Ale zapamiętaj sobie, Shelley, Danny jest wyłącznie moją kuzynką.

To jej to powiedz, pomyślała ze złością Shelley, ale nie zdobyła się na odwagę, by mu to rzucić w twarz. Zamiast tego oświadczyła spokojnym tonem:

- Nie musisz się mną opiekować, Raf. Mam psy. Poradzę sobie sama.

Resztę dnia Shelley spędziła przy sztalugach. Ubrana w starą, poplamioną farbami koszulę ojca, malowała bardzo oryginalną kompozycję tropikalnych kwiatów. Lilie, które zebrała nad bagnistym stawem, miały jeszcze krople rosy na płatkach, spieszyła się więc, by oddać na płótnie ich świeżość.

Raf pojawił się późnym popołudniem. Przyglądał jej się długo i uważnie, a potem powiedział:

- Gdy pracujesz, masz taki sam wyraz twarzy jak Marko... Bardzo skupiony... Mogę zobaczyć?

Shelley odwróciła się i odłożyła pędzel. Powitała go w dziwnie wojowniczym nastroju, choć przecież spodziewała się, że przyjedzie, mimo że usiłowała go od tego odwieść.

- Oczywiście - zgodziła się z rezygnacją. — Nie mogę cię powstrzymać przed niczym, na co masz akurat ochotę.

Przemierzył pracownię sprężystym krokiem i Shelley odsunęła się, by mógł zobaczyć żywy, przesycony słońcem obraz.

- Naprawdę piękne - szepnął zachwycony. - Wyglądają, jakbyś je przed chwilą zerwała. Masz wrażliwą naturę, Shelley...

- A ty nie? - odparła, powoli rozpinając koszulę.

Popatrzył na jej spokojną oliwkową twarz o dużych, aksamitnych oczach, na miękką linię jej warg, na niesforne kosmyki złotych włosów opadające na jej czoło i wstrzymał oddech. Pod roboczą koszulą miała jaskrawożółte szorty i biały podkoszulek bez rękawów. W tym stroju wyglądała jak młody, smukły chłopiec.

-Dajmy temu spokój, Shelley - rzekł krótko i odwrócił od niej wzrok.

- Spakuj się szybko, jeśli chcesz zabrać trochę rzeczy. Na wieczór

przygotowałem dla ciebie niespodziankę. Zawiozę cię, żebyś zobaczyła wypalanie traw. To niesamowite widowisko. Na pewno poruszy twą artystyczną duszę.

Daniella wcale nie zamierzała dotrzymać im towarzystwa. Zaraz po obiedzie przycisnęła swe odęte usteczka do wykończonej koronką, lnianej serwetki i powiedziała:

- Smród melasy! Mnie to dusi. Jak wrócicie, mam nadzieję, że sobie popływamy.

Pojechali wzdłuż wybrzeża w kierunku czerwonej łuny jaśniejącej w oddali na granatowym niebie. O zachodzie słońca na kilku sąsiednich farmach rozniecono ogień, który miał trawie ogromne pola trzciny przez całą noc, by oczyścić je z węży, liści, chwastów i całego podszycia. Słodki, duszący zapach melasy przesycił powietrze, przenikał nawet do wnętrza samochodu, mimo że Raf włączył klimatyzację. Przed nimi, na horyzoncie strzelały wysoko w niebo różnokolorowe iskry przypominające gigantyczny pokaz sztucznych ogni. Raf jechał kamienną drogą w stronę małego pagórka, który wybrał na punkt obserwacyjny. Tam wysiedli z samochodu i przycupnęli na ziemi.

Widok był fantastyczny! Tysiące języków ognia smagało wysokie na kilka metrów trawy, które wylaniały się z czerwonej kipieli niczym potężne, okolone wieżami i basztami zamczyska. Shelley, zafascynowana i trochę przerażona żywiołem, w pewnym momencie przysunęła się bliżej do Rafa, a on pieścotliwie położył dłonie na jej ramionach.

- Nie masz już dość? - szepnął jej prosto do ucha.

- To fantastyczne! - Oddychała głęboko, a ciało jej przeszywały rozkoszne, podniecające prądy. Odchyliła głowę do tyłu i zaraz poczuła

smak jego ust na swoich. Przesuwał dłońmi po jej ciele, po wypukłościach piersi, smukłej talii i biodrach. Czuła drzenie jego ramion, wiedziała, że ostatkiem woli panuje nad swymi reakcjami.

- Shelley, powinniśmy już pójść - wymamrotał gorączkowo. - Nie obawiasz się, że w pewnym momencie przestanę nad sobą panować?

- Nie ty, Raf - szepnęła drżącym głosem i odchyliła głowę do tyłu, by mógł ją znów pocałować.

- Musisz panować nad sytuacją, Raf...

Roześmiał się całkiem rozbrojony.

- W takim razie lepiej wracajmy, Shelley, bo gotów jestem zawieść pokładane we mnie zaufanie.

Gdy podjechali pod dom, Daniella wyszła im na spotkanie. Pełnym przygany spojrzeniem omiotła najpierw Shelley, a potem Rafa. Przez chwilę stała cicho, przygwożdżona zazdrością i gniewem, a gdy wreszcie przemówiła, na jej policzkach pojawiły się rumieńce.

- Wybaczcie - rzekła tonem obrażonej królowny

- ale pójde się położyć.

- Dobranoc, Danny - powiedział Raf grzecznym, obojętnym tonem.

Potrafi być okrutny, pomyślała Shelley.

Marka wypuszczono ze szpitala następnego dnia. Czuł się świetnie, przynajmniej takie sprawiał wrażenie, i był w znakomitym humorze. Przez cały następny tydzień wypuszczali się z Shelley na długie przejażdżki po okolicy w poszukiwaniu ciekawych tematów malarskich. Nie było to trudne, bo wokół wszystko kwitło i oszałamiało istną feerią barw.

Pewnego dnia dojechali aż do granicy tropikalnego lasu. Zatrzymali się tam i chłodną, cichą ścieżką pomaszerowali w głąb dżungli. Mijali

huczące wodospady i szmaragdowe jeziora, podziwiali wiekowe palmy i drzewiaste paprocie, których liście osiągały niekiedy długość kilku metrów. Ogromne drzewa porastały epifity i niezliczone gatunki kwitnących orchidei. Powietrze zdawało się drgać zielonym światłem.

- To był niezapomniany dzień, kochanie - powiedział Mark, gdy zmęczeni wrócili do domu. - Doskonała harmonia, spokój i czyste piękno...

Tego dnia po południu przyjechał Raf. Shelley widziała go po raz pierwszy od czasu, gdy przywieźli ojca ze szpitala. Raf telefonował tylko prawie każdego dnia, by porozmawiać z Markiem.

- Ojciec poszedł się zdrzemnąć - powiedziała Shelley, witając gościa na werandzie. - Odbyliśmy dziś daleką wycieczkę do lasu. Było cudownie!

Powiódł wzrokiem po jej ożywionej twarzy.

- Wycieczka dobrze ci zrobiła - powiedział z uznaniem. - Powinnaś pojechać do dżungli o świcie. Nie masz pojęcia, jak wówczas ptaki śpiewają... Może cię kiedyś zabiorę ze sobą. - Oparł się o balustradę i skrzyżował ramiona. - Mam dla was wiadomości.

- Obudzić ojca?

- Nie. Pozwól mu chwilę odpocząć. Powiem tobie. Otóż strażnik z Marine Park odnalazł Guntera na bagnach Parraweena. Przywieziono go na przesłuchanie i od razu przyznał się, że sprowadził motyle na Angel. Był ogromnie zadowolony, że może obwieścić światu odkrycie nowych gatunków motyli. Zawsze uchodził za ekscentryka, ale teraz chyba już kompletnie zwariował. Sugerował, by nazwano te motyle jego nazwiskiem. Zupełnie nie krępował się swej roli w całej sprawie. W

każdym razie w ciągu dwóch dni powinienem dostać pozwolenie na wznowienie prac budowlanych na wyspie.

- Cieszę się, Raf. Bardzo się cieszę. Musisz sam przekazać te pocieszające wieści ojcu.

- Mam zamiar pozwać Harrisa do sądu.

- Oczywiście, masz do tego prawo. Słyszałeś już, że Carla i Jeff się pogodzili?

- Owszem. - Spojrzał na nią chłodno i ironicznie.

- Życzę im wszystkiego dobrego, ale mam wrażenie, że Carla mogła trafić lepiej.

-Ona go kocha... - Shelley odrzuciła do tyłu włosy opadające jej na twarz. - A Jeff pragnie rozpocząć wszystko od nowa.

- Nic innego mu nie pozostało - rzekł Raf lakonicznie. - Wybacz mi, że źle interpretowałem twoją rolę w tym wszystkim...

- Czy mam to uznać za przeprosiny?

- W całej rozciągłości. - Skrzyżowali na chwilę spojrzenia, a potem Shelley pierwsza odwróciła wzrok. - Zbyt pochopnie cię osądziłem... - urwał i dodał po chwili namysłu: - Nigdy nie wspomniałaś mi o swojej matce...

Shelley odniosła wrażenie, jakby w jej ciało wbijało się tysiące drobnych szpileczek.

-Bardzo kocham matkę... - powiedziała szybko. - Wspomnienia są dla ojca jednak zbyt bolesne...

- Ale dlaczego nie porozmawiałaś o tym ze mną?

Rzuciła mu pospieszne, błagalne spojrzenie.

- O co ci chodzi, Raf? Podejrzewam, że masz jakiś cel...

- Być może. - Przyglądał jej się bardzo uważnie.

- Powiedziałaś kiedyś, że twoja matka była bardzo rozgoryczona...

- To chyba naturalne? Rozwody zwykle pozostawiają gorycz.

- A jak ty to przeżyłaś?

- Nigdy nie przestałam kochać ojca - rzuciła mu prosto w twarz, jakby oczekując z jego strony ataku.

- Nigdy o nim nie zapomniałam. Co jeszcze chcesz wiedzieć, Raf?

- Nie denerwuj się tak, aniołku. Podejrzewam, że nigdy byś nikogo nie zraniła, prawda? Ani matki, ani ojca. Wolałabyś kłamać, byle tylko ich chronić.

- Proszę cię, Raf - wyjąkała. Nie były to tematy, które chciała poruszać.

- Dlaczego nie mogłaś mi o wszystkim powiedzieć?

Po raz pierwszy w jego głosie wyczuła czułość i zrozumienie, po raz pierwszy zwracał się do niej życzliwie i bez cienia drwiny. Zarumieniła się z wrażenia.

- Nie mam ci nic do opowiadania - powiedziała łagodnie. -

Zapamiętaj tylko, że kocham ojca dla niego samego:

- Wrócimy jeszcze do tego tematu. - Zerknął w kierunku drzwi. -

Może Marko już się obudził? Chciałbym opowiedzieć mu o Gunterze.

- Już do niego idę. - Shelley uśmiechnęła się i dodała: - Zostaniesz z nami na kolacji?

- Jeśli mnie ładnie poprosisz... I nagle poczuła się szczęśliwa.

- Proszę cię, zostań na kolacji, Raf.

- To mi się podoba! - Powiódł swymi błyszczącymi oczami po jej uradowanej twarzy. - Chciałbym ci jeszcze powiedzieć, że Danny i ciotka Irene niedługo wyjeżdżają. Danny zatęskniła za Europą.

-I... i co ty na to? - Obrzuciła go czujnym spojrzeniem.

- Nic - rzekł obojętnym tonem. - Gdy pójdziesz po Marka, zrobię dla nas drinki, zgoda?

Shelley z radością w sercu pomknęła jak strzała przez korytarz. Ojciec leżał wyciągnięty na łóżku; twarz miał spokojną i dziwnie błogą. Wyglądał niewinnie i wzruszająco jak mały chłopczyk.

-Tato? - zawołała od drzwi, oczekując, że za chwilę otworzy swe niebieskie oczy. Mark nie darowałby sobie drzemki, gdyby dowiedział się, że przyjechał Raf. - Tato? - powtórzyła i podeszła chwiejnie do łóżka, tknięta nagle złowrogim przeczuciem. Zupełnie nieświadomie wydała głośny okrzyk, który zaalarmował Rafa, a potem wolno opadła na drżące kolana", porażona okropną świadomością, że jej ojciec nie żyje.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Mijały miesiące. Shelley przeżywała stratę ojca tak silnie, że nie mogła ani jeść, ani spać, ani malować. Jej matka i Martin, którzy zaraz po otrzymaniu smutnych wieści przybyli do Australii, by podtrzymać ją na duchu, również nie potrafili do niej dotrzeć. Shelley zamknęła się w sobie. Miała wrażenie, że znów jest dzieckiem, które spotyka straszliwy cios.

W tych pierwszych, okropnych dniach, gdy czuła się tak odrętwiała i bezradna, jedynym człowiekiem, który ją rozumiał, który potrafił ją pocieszać i koić jej ból, był Raf. Wszystkie sprawy dnia codziennego pozostawiła na jego głowie. Był współczujący, zapobiegliwy i opiekuńczy. Najbardziej jednak zadziwiała ją to, że nie czuła już doń tej gwałtownej, zachłannej namiętności. Zmysłowa aura, która zawsze ich otaczała, uleciała bezpowrotnie. Shelley nikogo już nie kochała i odnosiła wrażenie, że nigdy już nie pokocha.

Jamiesonowie - agenci jej ojca - zachowywali się wobec niej bardzo życzliwie i pozostawali z nią w stałym kontakcie. Pewnego dnia Paul zaproponował, by zrobić pośmiertną wystawę prac Marka. Shelley zgodziła się bez oporów. Zgodziła się również, by wśród eksponowanych płócien umieścić również jedno jej dzieło - portret ojca, który zaczęła malować w pewną koszmarną, bezseną noc. Odtwarzając z pamięci twarz Marka, odnosiła wrażenie, że go dotyka, wyczuwała jego fizyczną bliskość, zupełnie jakby prowadził jej rękę po płótnie.

Na prośbę matki pojechała z nią do Nowej Zelandii. Po kilku tygodniach wróciła jednak z powrotem do Bellevue. Jakkolwiek pobyt w

domu matki okazał się bardzo krzepiący, coś nieodparcie ciągnęło ją do Australii.

W tych trudnych dniach i tygodniach Raf stał się jej najbliższym przyjacielem i powiernikiem. Przestał jej teraz docinać i dokuczać, a dawna dzika namiętność jakby opuściła go również. Często wpadał do Bellevue, zaniepokojony, że Shelley mieszka tam sama tylko w towarzystwie nieodłącznych labradorów. Ofiarował jej jednego ze swych groźnych dobermanów - Ottona. Shelley w ciągu ostatnich miesięcy bardzo schudła i zmizerniała, Raf przywoził więc rozmaite smakołyki, by przywrócić jej apetyt. W ogóle traktował ją jak młodszą siostrę. Braterskie stosunki z Rafem... To było naprawdę niezwykle doświadczenie.

W czerwcu z wielką pompą otwarto ośrodek turystyczny na Angel. Shelley, mimo nalegań Rafa, nie pojechała na otwarcie. Nie czuła się jeszcze na siłach, ale mały promyczek radości zagościł w jej zbolałym sercu na wieść, że Jeff i Carla, którzy przybyli na uroczystość, spodziewają się dziecka.

Gdy tylko Shelley skończyła portret ojca, Raf wysłał go do Paula z prośbą o recenzję. Była, tak jak się spodziewał, entuzjastyczna.

- Prawdziwy triumf, moja droga - przekazał dziewczynie dobre wieści. - Marisa była wzruszona do łez. Oczywiście zaznaczą, że obraz nie jest na sprzedaż, ale jego wystawienie przysporzy ci sławy.

- Pojedziesz ze mną do Sydney?

- Jesteś pewna, że tego chcesz? - spytał poważnym tonem.

- Wiesz, jak bardzo cię potrzebuję - wyznała szczerze. - Jeślibym miała starszego brata, nie mógłby być dla mnie lepszy... - Zerknęła na Rafa, by sprawdzić, czy to stwierdzenie wywoła uśmiech ni. jego twarzy i

po raz pierwszy od dawna spostrzegła, że oczy Rafa wyrażają coś więcej niż tylko braterskie przywiązanie.

Rano w dniu wernisażu polecieli do Sydney. Wynajęli pokoje w hotelu, a potem Raf nieoczekiwanie wyciągnął ją po zakupy.

- Marko na pewno chciałby, żebyś wyglądała pięknie - rzekł, gdy zaczęła protestować.

Namówiona przez Rafa kupiła sobie bardzo szykowny czarny kostium i piękną jedwabną białą bluzkę. Zdążyła jeszcze udać się do fryzjera. Chciała obciąć włosy, ale Raf kategorycznie jej tego zabronił, czym zyskał sobie wyraźne uznanie w oczach fryzjera. Musiała więc poprzestać tylko na nieznacznym ich skróceniu.

Gdy dotarli do galerii, Paul i Marisa wyszli im na powitanie i przedstawili reszcie towarzystwa. Zaproszeni goście z zainteresowaniem przyglądali się pięknej i utalentowanej córce Marka Stuarta oraz, z nie mniejszą ciekawością, przystojnemu mężczyźnie, który jej towarzyszył. Niebawem Shelley zdała sobie sprawę, że oczy innych kobiet podążają za Rafem, że jedna przez drugą starają się nawiązać z nim rozmowę. Pewna rudowłosa piękność wprost nie dawała mu spokoju. Raf śmiał się często i z ożywieniem konwersował. Shelley poczuła ukłucie zazdrości. Jakie to dziwne! Tak bardzo w ostatnim czasie przyzwyczała się do jego przyjaźni i ustawicznej obecności, że nawet do głowy jej nie przychodziło, by mógł interesować się innymi kobietami. Pojęła nagle, że przecież nie miała do niego żadnych praw, co więcej, ostatnio wcale jej nie adorował. .. Zaczęła obserwować go kątem oka z narastającą złością, której całkiem nie pojmowała, a gdy ją na tym przyłapał, dumnie uniosła głowę i odwróciła wzrok.

Po wernisażu zjedli kolację w towarzystwie Paula i Marisy. Shelley nie była w najlepszym nastroju.

- Byłaś bardzo milcząca - powiedział Raf, odprowadzając ją pod drzwi hotelowego pokoju.

- Przepraszam. - Odwróciła głowę, by nie zauważył jej zmieszania. - Za dużo wrażeń jak na jeden dzień... - dodała wymijająco.

- Co powiesz na małego drinka przed snem?

- Jeśli masz ochotę...

Wyjął klucz z jej ręki, otworzył drzwi i puścił ją przodem.

-Chyba jesteś zdenerwowana. Niewiele jadłaś podczas kolacji.

-Daj spokój, Raf - ucięła krótko, nie mogąc spojrzeć mu w oczy.

Przyptyw zmysłowego podniecenia, jakiego doznała, zadziwił ją samą.

- Co się stało, mój aniele? - Głos jego zabrzmiał bardzo ciepło i czule. - To był dla ciebie ciężki dzień, prawda?

- W każdym razie ty się dobrze bawiłeś! - powiedziała opryskliwie, ale on nie zwrócił na tę wymówkę żadnej uwagi.

- Świetnie dałaś sobie radę - przyznał z ożywieniem. - Byłaś po prostu cudowna. Odziedziczyłaś po Marku jego wdzięk i przekażesz go swoim dzieciom...

- Nie wiem, czy kiedykolwiek będę miała dzieci... - rzekła w przystępie nagłej melancholii i nieokreślonego smutku. - Boję się... - Ścisnęła palcami skronie, czując w nich dziwny szum.

Raf szybko podszedł do niej i wziął ją w ramiona.

- Co też ty wygadujesz! - powiedział łagodnie.

- Będziesz miała dzieci. Z pewnością. I będziesz wspaniałą matką.

Z głębokim westchnieniem złożyła mu głowę na piersi.

- Raf... - wyjąkała - czy ty nadal mnie pragniesz? Przez chwilę milczał w napięciu, a potem rzekł głosem stłumionym i przejętym:

-Tak, Shelley... Nie widzę poza tobą świata.

- Zostań ze mną na noc... - Popatrzyła na niego z tęsknotą i oddaniem.

- Dlaczego? - Siłą uniósł jej podbródek, by spojrzeć mu w oczy.

- Wiesz o tym, że bardzo cię pragnę...

- Naprawdę? Myślałem, że już zapomniałaś...

- Niczego nie zapomniałam - odpowiedziała gorączkowo, jej wargi drżały. - Czy chcesz, bym cię błagała?

- Nie, mój aniele. Chcę jedynie usłyszeć, że mnie kochasz.

Nagle wszystko stało się takie proste. Kochała go przecież, całym sercem, całą swą istotą. Był dla niej wszystkim.

- Kocham cię! - rzuciła bez chwili zastanowienia, gwałtownie, przerażona nagle, że jej nie uwierzy.

Popatrzył na nią w zamyśleniu.

- Nadal wyczuwam w tobie pewien opór - rzekł z wahaniem.

- Ależ nie, Raf! - zaprzeczyła niecierpliwie. - Rozbierz mnie...

Zareagował inaczej, niż się spodziewała. Chwycił ją silnie za ramiona i potrząsnął.

- Czy ty wiesz, co mówisz?

- Przecież czekałeś na to tak długo - odrzekła z przekonaniem.

- Nie chcę z twej strony żadnych poświęceń... Nic już nie odpowiedziała, tylko zsunęła zakiet z ramion, a potem zdjęła bluzkę i niedbale rzuciła ją na krzesło. Pod spodem miała koronkowy, prawie przezroczysty stanik.

- Przestań! - nakazał niemal szorstko. - Dlaczego to robisz?

- Ponieważ tego właśnie chcesz! - Rozpięła wąską spódnicę i zsunęła ją z bioder, zdjęła pantofle, a potem cieniutkie jak mgiełka rajstopy.

Złapał ją wpół i przyciągnął do siebie. Widziała jego oczy szeroko otwarte i dziwnie płonące.

- Masz piękne ciało, Shelley, ale mnie nie interesuje ten striptiz - powiedział z naciskiem.

- Pocałuj mnie, proszę, pocałuj... - błagała.

- Na tym się nie skończy - ostrzegł ją niemal gniewnie. - Nie możesz mnie prowokować, a potem uciekać, gdy się przestraszysz.

- Proszę cię, pieść mnie. - Podniosła na niego oczy płonące miłością i pożądaniem.

Puścił ją nagle i odsunął się o krok. Kiedy przemówił, głos miał bardzo spokojny i opanowany.

- Chcę, żebyś została moją żoną, Shelley - powiedział z determinacją. - Pragnę tego od dawna, pragnąłem nawet wówczas, gdy nie wzbudzałaś mojego zaufania... Teraz wiem wszystko... Sarina dokonała przede mną rachunku sumienia.

-Mama? - W ciemnych oczach Shelley malowało się zdziwienie i pewien niepokój.

- O nic ją nie pytałem. Sama mi wszystko powiedziała. Ona od razu zrozumiała, co do ciebie czuję, podobnie jak Mark. Ojciec twój pragnął, byśmy byli razem. To było jego najgorętszym życzeniem.

- Wiem - przyznała Shelley ze smutkiem.

Więc jeśli chcesz, bym został twoim kochankiem, musisz wyjść za mnie - powiedział z figlarnym uśmiechem.

Oczy Shelley zajaśniały, serce wezbrało szczęściem i radością. Świat znowu stał się piękny i kolorowy. Po raz pierwszy od dawna na jej twarzy zagościł szczery, beztroski uśmiech.

- Nie wyrażę zgody, póki nie sprawdzę, czy jesteś dobrym kochankiem - odrzekła kokieteryjnie.

Przesunął wolno dłońmi po jej piersiach, a dotyk jego palców znów obudził jej zmysły.

- Zaczynałem już powątpiewać, czy kiedykolwiek będę miał okazję wyznać ci, jak bardzo cię kocham. Uwielbiam cię, Shelley. I pragnę tak bardzo, że stało się to wprost nie do zniesienia. Jeśli zostaniesz ze mną teraz, już nigdy nie pozwolę ci odejść. Tego bądź pewna. Będziesz moją na zawsze, nie dam ci szansy odwrotu. Tylko ty i ja...

Spełniło się jej najskrytsze marzenie o miłości.

-Wiem - szepnęła, zarzucając mu ramiona na szyję. - Nigdy się nie rozstaniemy, Raf. Razem przejdziemy przez życie...

Przez chwilę patrzył w jej rozkochane oczy, a potem przykrył jej wargi gorącym, namiętym pocałunkiem.

- Moja piękna, wspaniała dziewczyno... Mój aniele! - Z rozpromienioną twarzą porwał ją w ramiona. - A teraz - powiedział - pokażę ci, jakim jestem kochankiem.